Nr. 29. Lwów, Niedziela dnia 16. Lipca 1876 r. **Rok III.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: roczuie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXVIII.

Prasa polska w Ameryce.

I. Górale i marynarze są pobożni do zabobonu. Do nich należałoby przyłączyć wszelkie grupy ludzi, oderwanych od większej masy i rzuconych w szczupłej garstce między odległe i obce żywioły. Jedni i drudzy ulegają bardzo naturalnym psychologicznym prawom. Wszelka kolonja, jeśli się nie osiedla wśród elementu swojskiego, jest klinem wbitym w pień, z którym się bardzo późno, a czasem nigdy całkowicie nie zrasta. Zaciśnięta do życia w swem drobnem kółku, oddzielona od większych obszarów życia, z którego by mogły spływać do niej coraz świeższe, orzeźwiające prądy, rozmarza się zwolna kojąc smutek odosobnienia religijnem dumaniem. Wprawdzie plemię słowiańskie nie posiada germańskiej sztuki wystarczania sobie, i łatwiej łączy się z elementem obcym; wprawdzie samo życie nie pozwala na zupełną izolację i zmusza do pewnych stosunków, mimo to jednak nie zdoła ono zaabsorbować całej sumy uczuć i wszystkich sił imaginacji. Tęsknota idealizuje przedmiot swoich pragnień i szuka pociechy bodaj w złudzeniu. Z tego źródła płynie wszelka miłość zamorskich kolonistów, a więc i religijna. Dodajmy do skutków osamotnienia skutki inteligencji. Wyjąwszy bardzo nieliczne wyjątki posiadające wyższą naukę, reszta kolonistów zwłaszcza naszych, przenosi się z Europy z dość ograniczonem wykształceniem. Okoliczność ta jeszcze bardziej podsyca religijną żarliwość, gdyż umysły nieposiadające w swej wiedzy dostatecznej opory dla mężnego dźwignięcia trudów życia, budują swe przekonania i nadzieje na gruncie pobożności. Wszystko to uwzględnić trzeba, chcąc zrozumieć kierunek całej osadniczej prasy perjodycznej w Ameryce, a w szczególności polskiej. Społeczne odosobnienie, żal do losu, który przemocą na nie skazał, ciasny widnokrąg umysłowy, rozszerzający się jedynie w stronę ku nadziemskim sferom, a we wszystkich tem silny puls najserdeczniejszych uczuć — oto są cechy dziennikarstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. Z wnioskami ogólnemi trzeba być ostrożnym, ośmielamy się jednak na podstawie naszych osobistych wiadomości i cudzych doniesień twierdzić, że prasa polska jest poezją prasy amerykańskiej i że żadna inna w tej części świata nie wykazuje tak wysokiej temperatury serdeczności.

Spisywać dzieje wszystkich czasopism polskich w Ameryce nie jest w tej chwili naszem zadaniem, pisać szczegółowe sprawozdanie z wszystkich numerów — również, zastanowimy się więc jedynie nad dwoma największemi organami, które scharakteryzowane przykładowo, dadzą czytelnikom dostateczne wyobrażenie o całem dziennikarstwie tej gałęzi.

Pierwsze z tych pism: *Kurjer Nowojorkski* wyrównywa formatem naszym dziennikom, a wychodzi raz na tydzień w objętości jednego arkusza. Pierwsza stronica poświęcona artykułom wstępnym treści politycznej, obejmującym całość spraw cywilizowanego świata. Dalsze zajmują się bieżącemi wypadkami w Ameryce, między któremi naturalnie kronika kolonij polskich zwraca główną uwagę redakcji. Rubryka ta nie pomija najdrobniejszego objawu, donosi o najskromniejszym metingu lub stowarzyszeniu, o każdej nawet uroczystości lub zabawie. „Jedną z takich przyjemności — pisze np. kronikarz w nr. 4 — dostarczyło nam Towarzystwo bratniej pomocy z Newarku swojem przedstawieniem amatorskiem, które odbyło się w „Dramatic Hall“ przy ulicy East Huston w dzień Nowego Roku. Dawana była znana komedja M. Bałuckiego „Polowanie na męża.“ Grano dobrze. Muzyka była odpowiednią i przedstawienie można powiedzieć najkompletniej udało się. Jedynie co można zauważyć, to to, że głos babuni zdawał się należeć do zdrowego czterdziestoletniego mężczyzny, a nie do trzęsącej się i głuchej staruszki. Następnie pan Lewandowski przedeklamował wiersz „Wyprzedaż.“ Znać było z pięknej deklamacji, że p. Lewandowski głęboko odczuł położenie biednej pracownicy, której wyprzedają ostatnie rupiecie i na kolanach błagającej, aby nie licytowali krucyfiksu, na którym jej matka złożyła ostatnie tchnienie, na którym jej dzieci uczyły się poznawać Boga. Żywy obraz zakończył sceniczne przedstawienie i chociaż znać było, że publiczność zadowoloną niem została, z drugiej strony, z powodu duszności i ciasnoty, od wielkiej liczby spektatorów, rada była przejść do obszernej sali balowej. Zagrzmiał polonez. Młodzież ruszyła ochoczo do tańca, starsi zaś aby nie przeszkadzać, wynieśli się do bufetu, do kufelka i pogawędki. Bawiono się długo, bo prawie do świtu, bawiono się dobrze, bo twarze wszystkich jaśniały zadowoleniem... Czy nie można częściej coś podobnego urządzać?“ Obok tych i tym podobnych opisów przekonywujących jak rzadką, a jak pożądaną jest dla kolonij wszelka sposobność wspólnego zgromadzenia się i zabawy przypominającej rodzinną ziemię, dziennik pomieszcza najrozmaitsze odezwy, pośredniczy w interesach, a wreszcie spisuje o ile może dokładną kronikę polskich prowincyj. Z przytoczonego wyżej urywku zauważyć można, że współpracownicy *Nowojorkskiego Kurjera* nie sypią brylantami słowa. Język ich prosty, nie wykwintny, charakteryzuje dostatecznie na innej drodze czynną myśl autorów. Podobny objaw spotykamy w całej prasie polskiej Ameryki. Jest to zaś tak naturalnem, że długich wyjaśnień wcale nie potrzebuje. Pamiętajmy bowiem, że do Ameryki nie wysiedlają się dziennikarze z profesji, że więc dziennikarstwo garstki kolonistów zostawać musi pod redakcją ludzi, których głównem zajęciem jest praca inna niż literacka, i którzy nieraz na listach do rodziny i przyjaciół kształcili swe zdolności autorskie. Niejeden z nich dzień cały przepracowawszy w sklepie lub przy maszynie, wraca wieczorem do domu dla napisania artykułu. Czy więc podobna od nich wymagać szerokiej teoretycznej wiedzy lub dziennikarskiej wprawy? U nas literaci żyją z pióra, tam jest ono dla nich zbytkiem, rozrywką lub moralnym obowiązkiem. Można się więc tylko dziwić, że maleńka grupka osadników umiała utworzyć sobie własną prasę. Szczupłość materjalnych zasobów nie pozwala rozumie się na zakup utworów oryginalnych pisarzy w Europie, trzeba się więc

ratować tłumaczeniami. I tak: *Kurjer Nowojorkski* drukuje obecnie w odcinku powieść J. Verne'go „Martin Paz“ w przekładzie Zofji Szwykowskiej. Wybór to z wielu względów trafny, gdyż powieść ta rozsnuwa się na gruncie amerykańskim, co dla każdego mieszkańca Stanów ma większą niż dla nas wartość.

Większą od *Kurjera*, a daleko bardziej rozmaitą jest *Gazeta Polska Chicago*, wychodząca również tygodniowo (rok 3ci). Na niej jeszcze wyraźniej odbija się widok życia kolonji. Samo pomięszanie treści, w którem polityczne przeglądy i uroczyste odezwy przeplatane są anonsami cukierników lub gończemi listami opuszczonych żon, wykazuje dostatecznie, jak redakcja równouprawnia w swem piśmie najrozmaitsze żywioły. Dziękuje np. (nr. 16) Lyon'owi za przysłanie mieszkańcom Buffalo chorągwi z Matką Boską, św. Stanisławem, i rehabilituje obywatela Poplińskiego, zaraz przy tem pomieszcza doniesienie Tomasza Wyrzykowskiego o gotowym do sprzedania placu, Schoenfielda o polskiej restauracji, dalej Marjanna Mieczkowska poszukuje swego męża, bezpośrednio po tych zawiadomieniach idą rozprawy o prowincjach polskich w Europie i innych jej krajach. *Gazeta* ma także czasami i poezję! Jak wiadomo wszakże grunt amerykański tej muzie nie sprzyja. Przytem płody jej zdradzają nadzwyczajną surowość i dość pośledni gatunek. Ot np. „Piosnka na dzisiaj.“

Noście świty i sukmany
A zrzucajcie szaty pychy,
Oto dzień zbliża się, dzień l i c h y, (?)
Dawno wam zapowiedziany.

Noście, młodzi przyjaciele,
Na znak pracy bożej, cichej,
Co ma zmienić dzień ów lichy (?)
W Alleluja i wesele!

Nam na duszy strój i ciała
Nie strój gallski, frak niemiecki,
Ani kontusz nasz szlachecki,
Jeno świta nam przystała.

Na dziś w świecie myśl i życie!
Bracia mili zrozumiejcie
Myśl mą chciejcie i umiejcie
Choć bez świty być jak w świecie! (?)

Więc mniej ciało, więcej ducha
Strójcie w świty myśli bożej;
Strój ten ducha w was przymnoży
Zbawion będzie, kto posłucha.

Hej, Wy bożej myśli ptacy
Braciom serce (?) płomień świecie
Gdzie wy? gdzie wy? odpowiedzcie,
Będzież co z tej naszej pracy?!

Niepodobna rymom tym odmówić szczerego i gorącego uczucia, niepodobna w nich nie rozeznać duszy czystej i szlachetnej, z drugiej jednak strony trudno im przyznać wyższy stopień natchnienia i artyzmu w formie. Tej zaś miary są prawie wszystkie amerykańsko-polskie poezje.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

XVI

Konstancja stała milcząca i zdziwiona, rotmistrz wpatrywał się badawczo na wzrok przysięgającego, który dzielnie wytrzymywał jego spojrzenie.

Rafał Fajski usiadł napowrót i znowu zaczął swoje badania.

— Więc odstąpienie tego majątku zostało zawarowane jakimś aktem.

— Aktem formalnym...

— I akt ten znajduje się w ręku marszałka Szóstackiego w Łaszczyńcach?

Tak powoli dowiadywał się różnych szczegółów towarzyszących tej sprzedaży, a niektóre z nich były snać dosyć ważne, bo gdy je usłyszał Fajski, bystrzej zaświeciły jego oczy.

Rotmistrza zniecierpliwiła ta indagacja. Skinął na wnuczkę, żeby nie odpowiadała więcej i od tej chwili sam już prowadził z niespodzianym gościem rozmowę.

— Panie Fajski — rzekł — wiesz że cię nie znam... powiedz mi coś za jeden?...

— Grzeszny sługa boży, — odpowiedział Fajski z pokorą.

— Zkąd ci przyszła myśl mięszania się w tę sprawę?...

— Powiedziałem już... z wdzięczności.

— Innych powodów nie masz?

— Żebym tak jasności niebieskiej, której niegodny jestem, przy skonaniu nie oglądał, jeżeli mam jaką myśl ukrytą prócz chęci uczynienia dobrze bliźnim moim, których kochać jak siebie samego nasz Pan Zbawiciel przykazał.

— A jakiemiż to środkami wydobyć myślisz z rąk Szóstackich Zaskale?...

— Środki te są moją tajemnicą...

— Powiedzieć ich nie możesz?

— Nie mogę.

— Będą uczciwe?...

Rafał Fajski powstał znowu, znowu podniósł w górę prawą rękę i wyciągnął dwa palce i zaczął przysięgać:

— W imię Tego który ludzkość męczeńską krwią swoją odkupił...

Ale nie dał mu dokończyć dziadek Konstancji.

— Za pozwoleniem, panie Fajski — rzekł — jesteś człowiek pobożny.

— Grzesznik jestem, ale pełnię przykazania boże, jak mogę.

— A umiesz je na pamięć?... pamiętasz drugie?

Ręką, której jeszcze nie opuścił od rozpoczętej przysięgi, Rafał Fajski grzmotnął się w piersi, aż w nich zajęczało i padłszy na kolana zawołał:

— Nie będziesz brał imienia mego nadaremno... słaby człowiek jestem!... *peccavi!*

Zakrył sobie twarz rękami i szlochał. Skrucha jego była tak głęboką i szczerą, że mogłaby okupić grzechy kochanek królewskich, które kiedyś zamieszkiwały domek będący tego żalu widownią, gdyby był Rafał Fajski żal ów ofiarował na tę intencję.

Pozwolił mu się rotmistrz wyjęczeć, patrzył tylko na niego uparcie, nie mówiąc ani słowa.

Rafał Fajski powstał.

— Środki, których użyć zamyślam będą uczciwe — rzekł uspokojony — tak jak uczciwym jest cel...

— Dość tego panie Fajski — przerwał mu rotmistrz głosem, w którym wrzał gniew i oburzenie — wynoś mi się z tego domu za drzwi, i nie waż się progu jego przestąpić, bo cię każę wyszczuć jak psa... Choćbyś mógł i chciał zwrócić dzieciom moim Zaskale, nie chcę go i one nie chcą, z rąk komedjanta i świętoszka.

Rafał Fajski nie myśląc oponować zwrócił się ku drzwiom.

— Jako pokutę i karę za ciężkie grzechy moje — mówił — przyjmuję to pohańbienie i to podejrzenie niesłuszne... Tak nam kazał Pan nasz i Zbawiciel... niech będzie imię jego pochwalone.

To mówiąc zamknął za sobą drzwi, a odjąwszy rękę od klamki wielki jej palec przesunął między wskazującym i średnim, pięść tak złożoną skierował ku dziurce od klucza i rzekł z wcale niechrześcijańską złością:

— Zgadłeś dudku, że figę byś miał odemnie nie Zaskale!

W chwilę potem Rafał Fajski gdzieś znikł, ulotnił się, nie było go, a jednocześnie do właściciela domu wchodził człowiek podobny do niego, ale różniący się peruką, inną zupełnie miną i najczystszem pochodzeniem niemieckiem, dzięki któremu nie rozumiał ani słowa po polsku.

Gdyby kumoszki z Kamieńca widzieć mogły to cudowne zniknięcie Rafała Fajskiego, niezawodnie jeszcze głośniej otrębywałyby jego cudotwórczość i świętość.

A gdyby kumoszki z Kamieńca umiały po niemiecku, toby mogły zapewnić, że Fritz Hahn, który tego dnia odwidził sąsiadów i gospodarzy Stanisława, pomimo upokorzenia jakiego doznał Rafał Fajski, był bardzo wesół i zadowolony, i taką rozmowę prowadził z właścicielka domu, która mu drzwi otworzyła, witając go bardzo serdecznie:

— *O! Herr Fritz!... wie befinden sie sich?*

— *Ziemlich, liebe Frau, ziemlich gut.*

— *Es freut mich sehr, Herr Fritz! und wo ist denn der Braütigam den Sie meiner Tochter Emma für heute versprochen haben?...*

— *Der kommt morgen, morgen gewiss!...*

Poczciwa matka przyjęła Fritza Hahna czem mogła, a nie spodziewała się bynajmniej, że to była ostatnia w jej domu wizyta, i że obiecany jej córce Emmie kawaler nie przyjdzie ani jutro, ani pojutrze, ani nigdy!...

XVII.

Trzeba przyznać panu hrabiemu Arturowi, że miał wiernego i pilnego sługę, ale też niekiedy ten sługa przewyższał samego siebie w pilności i wierności dla swego pana.

Przez parę tygodni od ostatniej bytności u właściciela domku w Grossgartenie, Fritz Hahn, z wyjątkiem chwil bardzo rzadkich i krótkich, nie opuszczał jego mieszkania.

Jeżeli pan był w domu, wierny sługa znajdował się nieodstępnie na swojem przedpokojowem stanowisku, jeśli pana w domu nie było, wierny sługa w jego pokojach dozwalał sobie troskliwości tylko służącym wypróbowanej wierności właściwej.

Wchodził do pokojów i robił staranny przegląd, nietylko mebli żeby je okurzyć,

albo odzieży pańskiej, żeby ją wytrzepać, ale także pańskiej korespondencji i papierów, nad któremi czasem zagłębiał się w dość długie studja, zapewne dla dokładnego przeświadczenia się, że ich mule albo myszy nie zjadły.

Korespondencje odbierane przez byłego kamerjunkra przechodziły tym sposobem dwukrotnie przez ręce Fritza Hahna, raz gdy mu je oddał listonosz dla doręczenia adresatowi, drugi raz gdy adresat przeczytawszy pozostawił je na swojem biurku. W pierwszym razie były naturalnie zapieczętowane, więc się wierny sługa mógł rozpatrywać tylko w adresie i w pieczątkach pocztowych, ale na biurku były rozpieczętowane, tam więc mógł zajrzeć i do treści, jeżeli i o ile treść go interesować mogła.

Z biegiem czasu przyszło jednak do tego, że Fritz Hahn odebrawszy list zapieczętowany nie odrazu go panu Arturowi oddawał, lecz zatrzymywał go u siebie przez cały dzień, i robił z nim różne manipulacje, skutkiem których treść listu stawała się jemu wiadoma, chociaż nazajutrz list dostawał się do rąk pana Artura tak jakby nigdy zapieczętowanym nie był.

Tęgim djalektykiem był widać Fritz Hahn i mówił sobie:

— Skoro list bądź cobądź musi się dostać później w moje ręce, to cóż to szkodzi jeżeli go pierwej przeczytam?

Niekiedy, prawdopodobnie wówczas gdy manipulacja zapieczętowania nie dość dobrze się udała, list nie dochodził zupełnie do pana Artura. Wtedy Fritz Hahn jako tęgi djalektyk mógł sobie mówić:

— Zniszczyłem list, trudno... poczta mogła go zgubić, więc jeżelim ja zniszczył, to jak gdyby poczta zgubiła.

Jednocześnie Fritz Hahn prowadził także korespondencję, nawet dość czynną. Wysyłał i odbierał listy, niekiedy ważne, ciężkie, rekomendowane, recepisowe. Im więcej ich wysłał, tem w bardziej gorączkowym był nastroju, tem niecierpliwiej oczekiwał odpowiedzi. Zdawał się wyraźnie lękać, żeby ktoś względem jego listów nie rządził się tą samą djalektyką, jaką on kierował się względem listów swojego pana.

Upłynęło w ten sposób tygodni kilka. Pewnego dnia, pana Artura nie było w domu, ale Fritz Hahn nie gospodarował po pokojach, lecz siedział w przedpokoju i patrzył na drzwi Oczekiwał wyraźnie jakiejś wizyty i zapewne nie innej tylko listonosza, gdyż była to właśnie godzina w której roznoszono listy.

Listonosz ukazał się rzeczywiście oddał korespondencję i jakiś dziennik francuski poświęcony sprawom sportu — jedyne pismo czasowe, które w Dreznie abonował hrabia Artur.

Fritz Hahn zamknąwszy drzwi za roznosicielem listów, pospieszył do gabinetu pana i zajął się ich czytaniem.

Tak mu było pilno, że przy pierwszym liście który otworzył, nie zachował żadnej ostrożności, żeby go można było nieznacznie zapieczętować napowrót. Po prostu złamał pieczątkę i czytał.

List był pisany w języku moskiewskim, mimo to Fritz Hahn czytał bardzo wyraźnie półgłosem. Łaska Ducha św. spływała widać tego dnia na niego.

A może udawał tylko że czytał, bo to co czytał brzmiało zupełnie nieprawdopodobnie.

List noszący adres hrabiego pisany był z Kamieńca do jakiegoś „liubiezniejszego Rafaiła“ i donosił w krótkich wyrazach, że sprawa wiadoma już rozpoczęta, że lada dzień marszałek będzie zawiadomiony i że pora działania przyszła. Piszący zalecał w końcu owemu Rafaiłowi, żeby się zgrabnie wziął do rzeczy i sprawy nie pokpił.

Fritz Hahn spalił ten list, popiół zgarnął i wrzucił go do piecyka, a potem z zadowoleniem zatarł ręce.

— Wygrana! wygrana! — powtarzał.

Po chwili dał się słyszec dzwonek. Fritz Hahn zadrżał, tej wizyty nie spodziewał się wcale.

Sprzątnął pospiesznie i do porządku przyprowadził korespondencję, potem pobiegł otworzyć.

Wchodzącym był posłaniec telegraficzny z depeszą do hrabiego Artura.

Wylegitymowawszy się piśmiennem upoważnieniem swojego pana, żeby listy wartościowe i telegramy pod jego adresem nadchodzące wydawano w jego nieobecności na ręce jego kamardynera, Fritz Hahn, odebrał telegram i po odejściu posłańca, starannie zamknąwszy drzwi, z gorączkowym niespokojem zabrał się do jego odczytania.

Telegram ze zwykłym sobie lakonizmem zawiadamiał pana Artura że został osierocony. Marszałek Szóstacki rażony apopleksją zakończył życie. Główny komisarz dóbr jego pan Wawrzyniec Grubikowski donosił o tem panu Arturowi i wzywał go, żeby przybywał jak najprędzej do domu.

Fritz Hahn załamał ręce.

— Nieszczęście! — jęknął — ktożby mógł to przewidzieć!...

Wiernego sługę jak widzimy straszliwie dotknął cios niespodziewany, który spadł na jego chlebodawcę.

— Wszystkie moje plany zwichnięte!— dodał po chwili, i na czas jakiś w niemem pogrążył się zamyśleniu.

Inteligencja jego pracowała i wysilała się widocznie. Wkrótce twarz jego rozpogadzać się zaczęła.

— Kot zawsze spada na łapy — rzekł budząc się z zadumy — dam sobie radę, tylko pospiechu! pospiechu!...

Wziął za czapkę i chciał wyjść, zniszczywszy poprzednio kopertę od telegramu, który obejrzał raz jeszcze i schował do kieszeni.

Na schodach spotkał się z wracającym do domu panem Arturem.

— Wychodzisz? — zapytał go pan Artur.

— Chciałem... to jest potrzebowałem... jeżeli pan hrabia pozwoli.

— Było co ważnego?

— Parę listów... są na biurku... zresztą nic...

— Zostań, będę cię potrzebował...

— Panie hrabio... nie mogę..

— Co?...

— Chciałem pana hrabiego prosić o uwolnienie na parę tygodni lub... na zawsze.

— Cóż to?... źle ci u mnie?...

— Nie... jest mi jak w niebie... ale... otrzymałem telegram... ojciec mój umarł... muszę jechac...

— A cóż ja będę robił bez służącego?

— Dam zastępcę, panie hrabio,

— Ręczysz za niego?

— Głową.

— No, to jedź... ale powracaj prędko... przyzwyczaiłem się do twoich usług.

— A więc... jeżeli pan hrabia pozwoli za godzinę będę z zastępcą, i dziś jeszcze wyjadę.

— Jak chcesz.

Pan Artur poszedł do siebie i przejrzał listy.

Nie było w nich nic ciekawego, przerzucił je niedbale, ziewając. W telegramie była wiadomość przerażająca i piorunowa zapewne dla synowskiego serca byłego kamerjunkra, ale wierny sługa oszczędził mu tego zmartwienia — wziął je na siebie. Bodajto mieć wiernego sługę!

Fritz Hahn pospieszył do telegraficznego biura i oddał tam dwa telegramy. Jeden pilny, opłacony podwójnie, drugi zwykły. Pierwszy był adresowany do komisarza pana marszałka Szóstackiego i podpisany imieniem „Artur“ drugi do jakiegoś tytularnego sowietnika w Kamieńcu i podpisany imieniem „Rafał.“ Artur donosił, że przybyć nie może bo jest sam ciężką chorobą złożony, ale przesyła natychmiast plenipotenta; Rafał zawiadamiał że sam przybywa bez żadnej zwłoki i prosił żeby nadal żadnych listów nie było.

Te ostatnie wyrazy dla czytelnika nieznającego stosunków jakie owego Rafała z tytularnym sowietnikiem w Kamieńcu łączyły, są zupełnie zagadkowe. Niestety, jako jedyny do nich komentarz dodać tylko możemy, że ów tytularny sowietnik był urzędnikiem na poczcie w Kamieńcu, i skutkiem wieloletniej zapewne wprawy w pocztową służbę wiedział zawsze co się w listach znajduje, chociaż ich nie rozpieczętowywał i z tego powodu doznawał szczególnych względów u władzy swojej i u kamienieckiego policmajstra. Nie wiemy czy i o ile wystarczy to dla wyjaśnienia przyjacielskich jego stosunków z „liubiezniejszym Rafaiłem,“ sądzimy przecież, że fakt ten rzucić może niejakie, chociaż słabe światło na te tajemnicze związki.

Z biura telegraficznego Fritz Hahn udał się *hinter die Frauen-Kirche,* ztamtąd wyszedł z jakimś dokumentem, który zaraz pobiegł zaprezentować moskiewskiemu poselstwu. Był to prawdopodobnie paszport.

Dopiero po uskutecznieniu wszystkich tych czynności zajął się wyszukaniem zastępcy, którego widać miał już dawniej na oku, bo go znalazł bardzo prędko, i idąc z nim do hrabiego różne mu po drodze dawał instrukcje.

Hrabia Artur dosyć był zadowolony z nowego sługi, rozrachował się z dawniejszym, i hojnym podarkiem zaopatrzywszy go na drogę, dodał:

— Gdybyś mimo sukcesji jaką pewno weźmiesz po ojcu, chciał nadal pozostać w służbie, to póki jestem w Dreznie miejsce u mnie zawsze znajdziesz, bom był kontent z ciebie mój Fritzu.

*

Zbytecznem byłoby dodawać, że Fritz Hahn najuniżeńszemi ukłonami podziękował za tak uprzejme a tak pochlebne dla niego słowa tytułowanego chlebodawcy.

Potem pan Artur wyszedł, a dawny jego sługa pozostał z nowym, ażeby go obznajmić z obowiązkami służbowemi, i zabrać swoje manatki.

Obznajmienie z obowiązkami trwało dość krótko, zabieranie manatków o wiele dłużej, może dlatego że Fritz Hahn, nie chcąc zapomnieć żadnej drobnostki, która do niego należała, przeglądał najstaranniej wszystkie rzeczy swojego pana, zaglądając nawet do papierów i pieniędzy, które zamknięte były na klucz, a klucz pan Artur zwykł był nosić z sobą. (C. d. n.)

WYCIECZKI
na współczesny Parnas Francuski

przez

J. S. Chamca.

II.

GEORGE SAND.

(Ciąg dalszy.)

Po śmierci babki oddana matce, którą spotykamy po raz pierwszy, pogodzić się z nią nie mogła, i w 1822 roku, mając lat 18, wyszła za mąż za barona Dudevant, syna wyższej rangi oficera z czasów cesarstwa. Miała z nim dwoje dzieci: syna, o którym później pomówimy, i córkę wydaną za dość znanego artystę rzeźbiarza Cleissinger. Po niecałych dziesięciu latach, przeżytych z mężem w nieszczególnej komitywie, w 1831 roku rozstaje się z nim ostatecznie, i wyjeżdża do Paryża, by tam siebie i małą córeczkę utrzymywać z zaczętych wprawdzie, lecz nigdzie jeszcze nieopublikowanych, literackich produkcyj. Na fortunie zbywało jej zupełnie. Wiadomo jak początki są trudnemi. Nie znajdując przez dość długi czas wydawcy, zmuszoną była innym poświęcić się trudom: dawaniu lekcyj, robieniu kwiatów, malowaniu wreszcie tych pudełek z drzewa, na cygara i na tabakę, znanych w handlu pod nazwą *Articles en bois de Spa*.

Dopiero w r. 1832, za protekcją urodzonego w tejże samej co i ona prowincji, literata Delatouche, weszła w skład redakcji fundującego się dziennika *Figaro*, i w kolaboracji z pierwszym amantem swym, Juljuszem Sandeau, wydała pierwszy romans pięcio-tomowy pt.: *Rose et Blanche*.

Zupełna i nic niezapowiadająca miernota. Idące za nim *Indiana* (2 tomy), *Valentine* (2 tomy) i *Lélia* (2 tomy) pod sfabrykowanym przez Delatouche'a „Georges Sand“ pseudonymem, czytającemu zjawiły się światu.

Z tego to czasu datuje przyjęcie przez Georges Sand, kostiumu męskiego, który nibyto miał ułatwiać swobodne jej ruchy w wielkiem jak Paryż mieście, i z którym rozstała się dopiero wtedy, gdy dojrzały już zupełnie wiek zaczął protestować przeciwko tej niestosownej maskaradzie. Stosunek z Sandeau trwał nie całe dwa lata, i zdaje się, że jedyny może zerwanym był nie przez nią, lecz przez niego. W każdym razie bezkrólewie nie przedłużyło się zbytecznie; w 1834 r. bowiem, widzimy ją już z Alfredem de Musset, jak podróżuje po Włoszech i jak wrażenia ztamtąd wyniesione, zapisuje w wspomnianych już „Listach Podróżnika“ (*Lettres d'un voyageur* 2 tomy w 8ce).

Romanse tej epoki *Jacques* (2 tomy), *André*, *Léone-Léoni* i *Simon* (każdy po 1 tomie) odznaczają się wybitnym wpływem Musset'a, a *par ricochet* i Bajron'a. Imprekacje przeciwko społeczeństwu, od którego nie jest się lepszym, widzenie wszystkiego w czarnych kolorach, poszukiwanie ideału, którego w razie potrzeby zdefiniować nie byłoby można, oto główne cechy tych utworów, napisanych z całą pełnią talentu, przepysznych formą, najcenniejszych może, jako dzieła sztuki, i najmniej jeszcze zasługujących na zarzuty skrajnych tendencyj. Romans z Musset'em rozwiązał się w sposób skandaliczny. Bohaterka nasza, zdradziwszy kochanka zostawia go w Wenecji, a sama z jakimś innym (o nazwisko jego mniejsza, bo bezwpływowy) wraca do Paryża.

Zerwanie to pominąłbym milczeniem, gdyby nie zwichnięcie egzystencji Musset'a, które domniemanym jego było rezultatem, gdyby wreszcie nie brzydka polemika nad pamięcią zmarłego poety, jaka się we 20 lat potem, koło 1856—58 roku, przed zgorszoną wytoczyła publicznością. Dość otworzyć 2gi tom „Zbiorowych Poezyj“ Alfreda de Musset, dość przeczytać w nim „Noc Październikową“ (La nuit d' Octobre) ustęp jej zwłaszcza zaczynający się od słów:

„*Non! C'est à mes malheurs, que je prétends sourire!*“

by zrozumieć jakiem okropnem echem, zdrada kochanki musiała odbić się w sercu młodego poety. Jeśli się rozpił potem, jeśli zstępując coraz niżej po szczeblach rozpusty, skończył żywot haniebnie w jakiejś ohydnej kloace, to zdrada ta zapewne głównym tego upadku musiała być powodem.

Opinja publiczna z jednogłośnym prawie w tym sensie wystąpiła wyrokiem. Potępiona przez nią Georges Sand z usprawiedliwiającym przeszłość swą „Ona i on“ (*Elle et lui*) pospieszyła romansem. Odpowiedział jej Paweł de Musset, brat zmarłego, w utworze „On i ona“ (*Lui et elle*) niby z papierów nieboszczyka wyciągniętym. Zawiązała się polemika, której niedawno w *Mémoires d'une cosaque* i w *Mémoires d'un pianiste* jak gdyby drugą mieliśmy edycję.

Ani myślimy w dość zresztą trudną wdawać się obronę pani Geoges Sand; lecz z drugiej strony, rozpacz Musset'a z powodu zdrady kobiety, starszej od niego o lat sześć, i której przeszłość nie dawała mu dostatecznych gwarancyj wierności, zawsze się nam dziwaczną wydawała zagadką. Lecz z sercem zakochanego, z sercem poety zwłaszcza, trudno w racjonalne wdawać się dyskusje. *Passons* zatem.

Od 1835 do 1838 roku, osierocone serce Georges Sand pod wpływem księdza Lamennais chrześcijańskiej oddaje się rezygnacji (!). Z tego czasu mamy „Listy“ naprzód „do Marcji“ (*Lettres à Marcie*) dzieło, wpływ ten religijny do najwyższego udobitniające stopnia; potem cztery, czy pięć romansów: „Poufny sekretarz“ (*Le secrétaire intime* 2 tomy), *Lavinia*, *Metella*, *Mattea*, *La Marquise* (po 1 tomie), następnie *Mauprat*, powieść malującą ostatnie wysiłki konającego feodalizmu, arcydzieło pod względem formy i dramatyczności niektórych epizodów, niewytrzymujące jednak krytyki pod względem prawdy charakterów (2 tomy w 8ce), wreszcie „Ostatnią z Aldinich“ (*La dernière Aldini*), *Les maîtres mosaïstes*, *l'Uscoque* i „Paulinę.“

Pragnąc uniknąć nużących powtarzań jednych i tych samych rzeczy, zapowiadamy raz na zawsze, że cytowane utwory, do których żadnych nie przywiązujemy komentarzów, pod sąd ogólnikowy podpadają ryczałtem, to jest, że mieszcząc w sobie pewną, czasem większą, czasem mniejszą dozę talentu, pewnej też dozie ulegają niedostatków, iż grzeszą przeciwko tym lub owym słusznym wymaganiom krytyki i zatem do poddania ich szczegółowemu rozbiorowi, dostatecznych nie przedstawiają nam racyj.

Postępując inaczej, musielibyśmy chyba nie dziennikarski artykuł, nie szkic pobieżny, lecz specjalne, parotomowe przedsięwziąć dzieło.

W 1838 r. kolej na naszego biednego Szopena. Z jego czasów: podróż naprzód wspólna na wyspy Balearskie opisana w jednym tomiku pod tytułem: *Majorque*. Nec plus ultra tego rodzaju literatury! Zadziwiające wtajemniczenie się w piękno przyrody i przedstawienie onego nie z banalnej strony, lecz z artystycznego prawdziwie punktu widzenia rzeczy. Trzy potem romanse *Consuelo* (8 tomów), *Comtesse de Rudolstadt* (4 tomy) i *Horace* (3 tomy). *Consuelo* to estetyka muzyczna, w powieściowe ujęta formy. Ideał harmonji i melodji w muzyce, jest w niej pojętym i zdefiniowanym po mistrzowsku. Jeśli tak jest, to wiadomo, czyjemu to przypisać wpływowi...

W 1840 roku zanotować trzeba pierwszą próbę teatralną „Cosima, lub nienawiść w miłości“ (*La haine dans l'amour*), dramat w 5ciu aktach z prologiem. Zupełne fiasco tak pod względem pomysłu jak wykonania. Panowanie Szopena jakkolwiek niby całych osiem lat trwające, pod koniec jednak 1843 r. zaczęło ulegać pewnym odmianom.

„Siedem strón u liry“ (*Les sept cordes de la lyre*) 1 tom i *Spiridjon* 1 tom, dwie produkcje mistyczną przepełnione filozofją, a w końcu tego opublikowane roku, już czyje inne zdradzają natchnienie...

Na tron wstępuje Piotr Leroux, podstawą filozofji którego była wiara w perjodyczny, co lat 50, powrót na ziemię dusz nieśmiertelnych, które stworzone w ściśle ograniczonej przez Boga liczbie, różne z kolei przychodzą zamieszkiwać ciała, i tym sposobem to cofając się, to mknąc naprzód, według zasług lub błędów każdego żywota, ku doskonałości odbywają pielgrzymkę. Zostawiając innym sąd o tem, jak dalece „ściśle ograniczona liczba dusz nieśmiertelnych“ zgodzić się może z ciągłym wzrostem ludności na świecie, sami mierni amatorowie abstrakcji idźmy dalej w ślady za dość burzliwą bohaterki naszej egzystencją. W egzystencji tej, a przynajmniej w piśmiennych jej przejawach, silna następuje zmiana. Ideał zamieszkujący przez czas długi wysokie sfery artyzmu i filozofji zstępuje na ziemię, i Georges Sand dając za wygraną peregrynacji duszyczek, pod bardziej ziemskich prądów podmuchem (*Michel de Bourges*, *Louis Blanc*, *Barbès*) o socjalnych zaczyna marzyć przewrotach.

Odpowiada to mniej więcej grzmiącej już w pobliżu rewolucji 1848 roku. Produkcje jej owoczesne: *Le compagnon du tour de France*, *Le meunier d' Angihaulb*, *Le péché de M. Antoine* wyprowadzając na dzienne światło kwestję walki między kapitałem a pracą, i kwestję własności, w jej rozwiązaniu dochodzą do ostatecznych utopij.

Na deskach teatralnych pojawiła się w owej epoce druga próba dramatyczna „Król czeka“ (*Le roi attend*) przedstawiona bez żadnego powodzenia i dziś zupełnie wymazana z pamięci publicznej. (C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

Czesław Pieniążek.

(Ciąg dalszy.)

Nie podejmujemy tu rehabilitacji Towiańskiego, boć obecnie stanowczego wyroku nań wydać wcale nie można, gdy sprawa jego niedostarcza ani materjałów skończonych, ani też do przeszłości zupełnie nie przeszła. Dziś kompilacyjnym raczej, niż ściśle badawczym i krytycznym sposobem, rozpatrywać się w niej możemy — ale też i tą idąc drogą, można jakie takie wyrobić sobie pojęcie i niejedno z opinji publicznej usunąć, co się niewłaściwie do niej zaplątało. Nic łatwiejszego, jak spotkać się np. z mniemaniem, że towianizm zagasił w poetach naszych owych czasów, poetyczne natchnienia. Mniemanie to przeszło do nas w spuściźnie z chwil owych, gdy Towiański rozpoczął propagandę swoją w Paryżu, gdy pozyskał sobie Mickiewicza, gdy zaczęto z nim walkę — namiętną. Gdy atoli rozpatrzymy się bliżej, a dokładniej, przyznać będziemy musieli — że chociaż towianizm wpłynął nieco na rozwój poezji, zwłaszcza co do Słowackigo, to przecież nie był przyczyną tego, że ucichli poeci.

Mickiewicz stworzywszy najpotężniejsze swe dzieło: Pana Tadeusza i przetłumaczywszy jeszcze Giaura — a więc już w r. 1835 czyli na sześć lat przed poznaniem Towiańskiego umilkł jako poeta. Seweryn Goszczyński po „Sobótce" w r. 1834 nic nam nie dał potem, coby siłę „Zamku Kaniowskiego" przypominało. Umilkł — jak Mickiewicz — na kilka lat przed poznaniem Towiańskiego. To też i Bohdan Zaleski mimo — że jak Małecki powiada „nie dał się zwerbować na zwolennika Towiańskiego" — a na każdy sposób nieznaczny w „sprawie" miał udział, — przecież po napisaniu „Ducha od stepu" i „Przenajświętszej Rodziny," a więc od r. 1841 ucichł i dopiero w niedawnych czasach odezwał się przerwawszy milczenie wydaniem w r. 1866 „Wieszczego oratorjum". Słowackiemu także nie odebrał towianizm twórczości, chociaż — co prawda — zamącił jasność jego natchnień. Krasiński właśnie w czasie panowania towiańszczyzny, staje u szczytu wieszczej potęgi, dając nam wówczas „Przedświt" (1843) i „Psalmy przyszłość" (1845 r.)

Wspomnieliśmy już poprzednio i wykazali, gdy była mowa o stosunkach na emigracji — co właściwie z rąk poetów wytrącało harfy. Mówiliśmy, że były to biedy prywatne i publiczne, że były to waśnie emigracyjne, sprzeczne z sobą kierunki społeczne i polityczne, że była to jednem słowem ruchliwość konspiratorska, absorbująca dla siebie myśl wszelką i uczucie. W kłopotach życia rodzinnego i śród kipiących gorączek socjalno-politycznych, zamarła muza Mickiewicza, z tychże powodów stracił siłę Goszczyński, dla tego też milczał tak długo Zaleski. Słowacki nie rozbijał lutni — chociaż był Towiańczykiem — bo żył w emigracji po za Paryżem, a w Paryżu po za emigracją; wreszcie Krasiński zdala trzymający się od wszystkiego, unoszący się duchem ponad odmęt politycznego chaosu, gdy go — jak innych — owe biedy nie gniotą rośnie w olbrzyma i uzupełnia uśpionych olbrzymów poezji.

Zresztą i to też na uwagę brać trzeba, że owe lata jak były chwilą najwyższego rozbłysku poezji — tak też były zarazem chwilą jej przesilenia.

Od r. mniej więcej 1820, po rok około 1850 poezja polska stwarza wszystko, co stworzyć mogła — i odtąd jałowieje jej gleba. Opatrzność hojną dłonią rozsypała nam lata w genjusze zasobne, hojną dłonią zlewała na nie natchnienia. Gdy nadeszła doba przesileń, nawet ci — co zdala byli od Towiańskiego, co go z imienia ledwie zaznali — nawet ci ucichli, lub zamiast śpiewać.... gadali. Pol, co z serca narodu wydobył „Pieśni Janusza" i oddał je narodowi ozłocone a wielkie, — śpiewał jak wieszsz przez długie lata, — wreszcie wciska w rymy, jak w prasę prozaiczne gawędy: S t r y j a n k a, Starosta Kiślacki itp. i nie może zdobyć się na nic, prócz na wierszowaną anegdotę. Ujejski Kornel, mimo — że najpóźniej z większych poetów, uderzył w Jeremjaszową harfę, bo w r. 1847 dopiero, dał nam jeszcze: Melodje biblijne w r. 1852 i potem już ucichł, jak starsi odeń wieszcze.

Widać więc, że poniekąd w przyczynach czysto zewnętrznych, że w duchu czasu, szukać należy wyjaśnień, dla czego tak prędko nastąpiło przesilenie w poezji. Do tego zauważać trzeba, że genjusz prędzej się wysila niż talent — i dla tego gdy genjusze zamilkły, już tylko talenta podtrzymują ruch na polu poezji, jako — że tak powiemy — wytrwalsze.

Towianizm przeszedł po nad literaturą, jak chmura piorunowa, groźna, czarna, mętna, lecz grom jeno najwyższe w literaturze szczyty dosięgnął i to te dwa tylko, które ta chmura swym cieniem zakryła. Mickiewicz w prelekcjach swoich i Słowacki w niektórych utworach z lat owych, zostawili wybitne piętno towianizmu — zresztą nie można wcale dostrzedz znaczenie mających, doniosłych wpływów tej doktryny, na kierunek literatury. Natomiast messjanizm wpłynął na nią i na dzieje nasze nie mało, o czem później pomówimy.

X.

(Słowacki pod wpływem towiańszczyzny. — Tendencje panslawistyczne Wrońskiego i towiańszczyzny. — Adres Towiańczyków do cesarza Alekrandra II. — Poezja Słowackiego pod wpływem towiańszczyzny.)

Co do Słowackiego, to istotnie: gdyby towianizm go był nie zajął, byłaby poezja jego i obfitszą i świetniejszą od r. 1842 zostawiła spuściznę. Niesnaski z Mickiewiczem i niechęć Słowackiego ku niemu, odpychały zrazu Juljusza od propagandy, w której głównym był czynnikiem Mickiewicz; w rok już atoli — bo w lipcu 1842, niewiadomym sposobem się stało, że Słowacki nagiął swe myśli na modłę Towiańczyków, i dał im pierwszy wyraz w liście do matki z 2 sierpnia tegoż roku, pisząc jej „że kosztuje nowego stanu duszy," że się zmienił „że boża miłość i łaska ożywiła" w nim wiele nadziei itd. Odtąd już doktryna Towiańskiego słała się dlań punktem środkowym, około którego obracały się myśli jego i uczucia. Mglistość, zagadkowość, jakaś bojaźń przed wyraźnem sformułowaniem myśli — przebijają odtąd w listach jego do matki co wszystko znamieniem było towianizmu. Serdecznie zaprzyjaźniony z Krasińskim, pragnął go wszelkiemi siłami pozyskać dla sekty, ale Krasiński chociaż pobłażliwym się dla niej okazał, do szeregu się nie zaciągnął. Słowacki zaś — tak już mocno utwierdzony był w wierze w Towiańskiego, że zerwał przyjazne stosunki z Krasińskim, nie chcącym przed tą wiarą uchylić czoła, a nawet nie wahał się w „Księdzu Marku" dotkliwie obrazić rodzinnych uczuć Zygmunta. Potem odłączył się od sekty i własne stworzył kółko, co pochodziło i z usposobienia jego, jak wiadomo skłonnego do negacji — a dumnego, nie dającego mu poddawać swojego „ja" pod inną indywidualność — tudzież z powodów innych, jakich mu sama towiańszczyzna dostarczyła. W korespondencji paryskiej z 16 stycznia 1844 zamieszczonej w „Roku" poznańskim czytamy, że sekta Towiańskiego o s ł a b ł a znacznie s k u t k i e m w y s t ą p i e n i a z niej Słowackiego, a więc już z końcem 1843 r. prawdopodobnie zaszły nieporozumienia, o których podaje wiadomość Małecki, umieszczając w swem dziele urywek z listu Słowackiego do Towiańskiego, znaleziony we fragmencie między papierami Juljusza. Z fragmentu tego tyle wyrozumieć można, że „ciche wystąpienie Słowackiego z koła Towiańczyków, Towiańskiemu „nieuwłaczające", wywołało u tegoż „sąd pismu powierzony", w którym ducha Słowackiego osądził „odważnym będąc w sądzie, bezsilnym w osądzeniu".

Wiemy też z listu do Krasińskiego, że „każdego inaczej uderzyło Mistrza słowo, z innej struny każdy wydobywa dźwięk swój" — więc tem się też wyjaśnia, dlaczego i Słowacki na swój sposób naukę Towiańskiego sobie urabiał, zwłaszcza — że miał skłonność taką do panowania swojem „ja" — nad wszystkiem. Widać też że Słowacki z patrjotyzmu jak i inni przyłączywszy się do „Sprawy", dopatrzył się w niej ogólnych, kosmopolitycznych dążeń i — ustąpił z koła tego, w którem się one rozwinęły. Tę niejako: obywatelską, polityczną przyczynę usunięcia się od Towiańskiego, tłumaczy najlepiej inny fragment w książce notatkowej Słowackiego znaleziony, a podany przez profesora Małeckiego*). Fragment ten, jest jakimś protestem — niezawodnie przez Słowackiego ułożonym — przeciwko jakimś zamiarom sekty.

„My niżej podpisani, którzyśmy stanęli przy sztandarze sprawy Bożej, z najwyższego ducha miłości i prawdy chcąc wysnuć siły k u z b a w i e n i u o j c z y z n y naszej....

„Przekonawszy się, że dotychczasowi wodze nasi, którym z miłości poddaliśmy się i z pokory, nie odpowiedzieli zaufaniu naszemu, ale powiedli koło nasze ku tym i d e a l n y m, a b s o l u t n y m c e l o m, na których wszelka r ó ż n i c a czasem i charakterem m i ę d z y n a r o d a m i położona ginie.... itd."

Wyraźniej jeszcze objawia się ta ostatnia przyczyna wystąpienia Słowackiego, a nawet i zniechęcenie, w liście bez daty do Mickiewicza pisanym. List ten zaczyna się od słów:

„Do koła całego tak nazwanych Towiańczyków, czyli uczniów pewnego Andrzeja Towiańskiego, na ręce zastępcy mistrza onego Adama Mickiewicza: Bracie Adamie!..."

poczem spotykamy tam po wstępie listu, co następuje:

„Listem do koła braterskiego pisanym, nie wyrzekłem się bynajmniej braterstwa, ale położyłem Veto z ducha polskiego — przeciwko d ą ż n o ś c i r o s s y j s k i e j, która mszę i nabożeństwo publiczne za ducha nie

*) Ant. Małeckiego Juljusz Słowacki jego życie i dzieła. T. II str. 231.

naszej wiary i nie naszej idei podyktowała. Przypominam że jako pierwej, tak i teraz Veto moje nie zdjęte z koła trwa na wieczność, a tem samem czyni nieprawnemi i bezskutecznemi wszelkie kroki, które koło w tymże duchu łączącym nas z Rossją przedsiębierze.“

„I żądam żeby ta nowa protestacja przeciwko ugięciu ducha polskiego przed cesarzem Mikołajem zakomunikowaną była w kole do wiadomości.“

„Zostawując sobie dalszą wolność czynienia kroków, które mi się wydadzą potrzebne dla ratunku ducha Ojczyzny mojej.“

„W braku aktów, do którychbym wnieść mógł tę protestację, oświadczam — że powierzę ją pamięci narodu mojego. Brat Juljusz Słowacki.“ *)

Widać z tego, że nie pierwsza to była protestacja Słowackiego, podjęta z obowiązku patriotycznego przeciw działalności, która mu się antynarodową wydała; widać też, że ta patrjotyczna gorliwość, która go do sprawy skłoniła, kazała mu potem na własną działać rękę. Zastrzeżeniem swobody w działaniu dalszem, zapowiada utworzenie nowego, odrębnego koła. Przy tej sposobności nasuwa się uwaga, że nie ma co tak bardzo dziwić się Gołębiowskiemu, iż widzi ręce rossyjskie w tem wszystkiem, skoro coś podobnego upatrzył i Słowacki. Nie mówimy przeto, jakoby tak być miało w istocie, ale musiały być pozory, musiały zajść okoliczności, wiodące namiętnych, jak Gołębiowski do owych okropnych potwarzy, zarzutów i podejrzeń, które nawet tacy ludzie, jak K. Ostrowski tłumacz na język francuski dzieł Mickiewicza, wyraźnie podzielali. (C. d. n.)

*) Małecki t. II str. 232.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Wypadki dnia rozstroiły mnie nerwowo, to też nie mogąc przez całą noc zmrużyć oka, dopiero nad samem ranem zasnąłem silnie, dręczony niespokojnemi widziadłami. Pod wpływem nużącej zmory szamocąc się ze słoniami, przebudziłem się nagle na głos Józefa który w swej gorliwości zapraszał mnie do śniadania. Zerwałem się na równe nogi myśląc, że mię powołują na sąd ostateczny; lecz na szczęście stanąłem tylko przed kawą. Pokrzepiony tym nieocenionym napojem, zająłem się wyprawą do zabitych słoni; Desiremu kazałem wziąć strzelbę i pałasz i iść za mną. Józef dosłyszawszy moje rozporządzenie począł wpraszać się także, i wstawiać za jednym Indjaninem należącym do eskorty, którego przyjaźń pozyskał za resztki z mojego objadu. Zgodziłem się na to powiększenie personalu naszej ekspedycji, zaleciwszy Indjaninowi by wziął z sobą swój *dah;* Józefowi dałem nabitą dubeltówkę. Żeby nie być widzianym przez swoich kolegów, czarny mój towarzysz pobiegł pierwszy.

Zdala od pobojowiska, zasłanego przezemnie dwoma trupami, ujrzeliśmy nad ciałem kapitana uwijającą się chmarę ptactwa; były to sępy płowe, rodzaj najgłupszy, najpodlejszy i najżarłoczniejszy z ptaków drapieżnych. Za naszem zbliżeniem, te które były na samym końcu, a zatem najmniej uraczone, zerwały się kołując nad naszemi głowami z krzykami złości i zniecierpliwienia; reszta nie ruszyła się nawet.

Józef lubiący zawsze marnować proch na wiwatowe strzały, ubił z obu luf pół tuzina najwięcej opasłych i zażartych ptaków. Desiré zły strzelec ale silny i rozrosły wolał pałką cudów dokazywać. Sępy najedzone po same uszy, odęte jak pęcherze, nie mogły unieść się z ziemi, i ograniczały obronę na piszczeniu, roztwieraniu dzióba i biciu skrzydłami długości siedem do ośmiu stóp. Z tej bitki Desiré wyszedł nieco podrapany, z ramieniem zsiniałem od uderzenia skrzydła i z ręką rozkrwawioną.

Niemożna było dokładnie zbadać spustoszeń, wyrządzonych we wnętrzu żołądka kulą wybuchającą; ptaki bowiem rozdrapały już były części brzuszne i oddechowe, nawet mięso z jednego boku zostało prawie w całości zjedzone. Indjanin ze zręcznością, którаby honor zrobiła nie jednemu sławnemu dendyście europejskiemu, wyjął swoim dahem kły słoniowi. Józef utyskując, że trąba była za długa i gruba by się nią obarczać, pocieszył się oderznięciem uszów, z których zamierzał sfabrykować wachlarze.

Przy tym szkielecie nie było już co robić, udaliśmy się do drugiej ofiary systemu Devisma. W tem miejscu ciało przysłonięte nieco pniem drzewa, liśćmi i gałęziami pochylonemi, nie znęciło tak wielkiej ilości sępów, których kilka tylko uwijało się i te Desiré wkrótce rozegnał dwoma strzałami.

Zbliżałem się do powalonego kolosa z jakiemś dziwnem uczuciem, nie mogąc sobie wytłumaczyć niepojętej odrazy, która mnie przejmowała; byłoż to wspomnienie niebezpieczeństwa wczorajszego? Józef i Desiré nabili powtórnie broń, Indjanin z wyciągniętym kordelasem postępował tuż koło mnie. Odór pochodzący z biesiadujących ptaków i ciecz smrodliwa wydzielająca się z ich dzióba, gdy się do syta najedzą, sprawiała mi mdłości. Z niewysłowionym wstrętem podszedłem do słonia, który przewrócony na prawy bok oparty był o pień tamaryndy; kałuża zsiadłej krwi czerniła się na trawie. Chociaż sępy rozpoczęły już swoje dzieło rozbioru od miejsca, którem kula dostała się do środka, mogliśmy jeszcze dopatrzyć śladów rozdarcia spowodowanego wybuchem palnej materji. Większa połowa wnętrzności znikła wprawdzie, jak nie mniej wątroba, serce i kawałek płuc, pozostałe jednakże niektóre części żołądka i organa oddechowe były całkiem osmalone, rozszarpane i podziurawione jak przetak. Kula torując sobie drogę między żebrami o kilka cali poniżej kości pacierzowej w stronę lewego boku, wpadła w zaklęsłość brzuszną — gdzie rozpękując się spowodowała natychmiastową śmierć. Zatopiony w tem dociekaniu słyszę naraz nad sobą świst przenikliwy; mimowoli odskakuję kilka kroków w tył i chwytam za rewolwer; Józef i Desiré krzyknęli z przerażenia; między ciałem powalonego słonia a drzewem tamaryndy wznosił się wąż olbrzymi.

Czy był on tam oddawna ukryty u stóp drzewa a my przeszkodziliśmy mu w jego letargicznym spoczynku? Czy dopiero przybył znęcony odorem mięsa, które zaczęło już podlegać rozkładowi? Naprawdę nie myślałem w tej chwili zastanawiać się nad rozstrzygnięciem tej kwestji... Wąż tymczasam okręcony połową ciała o pień drzewa, wznosił resztę korpusu sztywnie w górę, oprócz głowy, która naprzód pochylona, była w pozycji dogodnej zarówno do zaczepki jak do obrony. Z roztwartą paszczą, pokazując rząd zębów mniej strasznych ale zdradliwszych od języka, którym wywijał z niesłychaną szybkością, był w pogotowiu połknąć łup jaki mu się nawinie. Szyja cienka, zwężająca się przy kadłubie, rozwijała się w górze do szerokości paszczy, skóra zaciągnięta na głowę opadała w kształt kapiszona.

W mgnieniu oka indjanin rozwinął swój *patsoo*, którym krajowcy zwykli się okręcać, i trzymając go w jednej ręce w pogotowiu do zarzucenia na głowę gadzinie gdyby jej przyszła chęć zaczepienia nas, w drugiej dzierżył *dah* i czekał sposobności zadania nim ciosu; Józef i Desiré zmierzyli się oba jednocześnie ze swoich dubeltówek. Wstrzymałem ich w zapale, zakazując strzelać by ziarnka śrótu nie podziurawiły skóry. Stałem o kilka tylko kroków od jadowitej gadziny, z rewolwerem w ręku; podniosłem broń, spokojnie zmierzyłem w roztwartą paszczę i wypaliłem. Za czwartym strzałem wąż wił się u stóp drzewa z niepojętą gwałtownością w podskokach i drganiach konwulsyjnych. Zbliżyłem się do niego i ostatnie dwa strzały wymierzyłem w czaszkę; pierścienie obwisłej skóry czas jakiś poruszały się jeszcze dość silnie nerwowym kurczem, lecz za to był już nieżywy.

Krew sączyła się z ran obficie, mimo to dostrzegłem około szczęki ślinę zielonawą, smrodliwą, wydzielającą się z pod warg silnie zaciśniętych — był to jad. Spód brzucha okryty płatami, lśnił się jasno-żółtą barwą; ogon takie same nosił znamiona. Kadłub zaś ku bokom miał żółtawy kolor, ale linja środkowa była pokryta plamami czarnemi, zielonawemi i czerwonemi. Głowa pod płatkami łupkowatemi zachowała jednostajny popielaty kolor; pod wpływem gniewu wąż zdawał mi się przybierać barwę o wiele ciemniejszą, prawie czarną.

Indjanin odciął głowę, rzucił ją daleko w krzaki i wziął się do ściągania skóry, na sposób jak u nas sprawiają węgorza; po zdjęciu rozwiesił ją na gałęzi; była długości do siedmiu stóp, objętości ramienia. Paszczęka mogła pomieścić przedmiot wielkości dwóch pięści, ale zważywszy cienkość szyi wypada przypuścić, że by się kawał takiego obwodu mógł dostać do żołądka, kanał pokarmowy musiałby posiadać wielką elastyczność.

Po wyjęciu kłów drugiemu słoniowi, zabraliśmy się z powrotem; te cztery zęby ważyły razem 115 kilogramów. Gdyśmy się złączyli z eskortą powstała sprzeczka między naszymi ludźmi z powodu węża, któremu jedni dawali nazwę, odpowiadającą gatunkowi znanemu jako *naja*, drudzy kiwali głowami i nie zdawali się zgadzać na takie orzeczenie. To mi nasunęło na myśl inne zdarzenie z wężem. Płynąc rzeką Irawady zapuściłem się w okolicę za zwierzyną; wracając obciążony łupem, słyszę krzyk Józefa, który o kilka kroków szedł przedemną niosąc część zdobyczy. Podchodzę bliżej, wąż okręcony o krzak tamował nam drogę dość wąską w tem miejscu; prześliznąć się było niepodobna; bez długiego namysłu mierzę w samą głowę i po drugim strzale wąż leżał roztrzaskany. Przypatrzyłem mu się chwilę i pospieszyłem do moich łodzi. Nad samym brzegiem spotykam przedsiębiorcę, Hiszpana urodzonego w Birmanji, który równo ze mną płynął i widząc jak pożądliwym okiem spoglądа na moją obfitą zdobycz zwierzyny, zatrzymałem się ofiarując mu połowę

Józef naturalnie nie omieszkał opowiedzieć przygody z wężem; Hiszpan rozpytywał się nad powierzchownemi oznakami płaza, mówiąc że to był *cobra capello*, Józef ze swej strony nazwał go *naja* co miało oznaczać jeden i ten sam rodzaj według zdania naszego przedsiębiorcy. Hiszpanie byli pierwszymi Europejczykami co w Indjach mieli swoje posiadłości; Ceylon odkryli w r. 1507, w 1510 objęli w posiadanie Goy; od tej epoki nazwę *Cobra capello* (nakrycie głowy, kapiszon) nadali płazowi odznaczającemu się tą szczególną ozdobą, chociaż krajowcy mianują go *naja*.

Wąż ubity na brzegach Irawady był mniej gruby i duży, niż ten przyniesiony z łąki; przytem barwa jego skóry była ciemniejsza, i miał z tyłu głowy około karku tudzież nad otworami słuchowemi zakreślenia czarnych linij w kształcie okularów, jak je nosili nasi pradziadowie, czego nie posiadał wyż wspomniany okaz. Wątpliwość żołnierzy mojej eskorty co do nadania właściwej nazwy płazowi, a raczej zgodzenia się na jedno orzeczenie, spowodowała mię do obserwowania gatunku okularników, który licznie pojawia się w Birmanji. Nieco później przekonałem się dowodnie, że płaz ten różni się często w kolorze i wielkości, a nawet linje zakreślające okulary są niekiedy przypadkowem znamieniem; jedyną oznaką rodzaju jest wzniesienie i zagięcie skóry w kształt nakrycia głowy. Oprócz tego węże te przedstawiają zanadto wiele znamion charakteryzujących żmije, bym się miał wahać z zaliczeniem ich do jednej rodziny.

Na drugi dzień zwijając nasze namioty, w chwili wyruszenia w drogę, Indjanin, przyjaciel Józefa, nie stawił się na apel oficera, zwołującego swoich ludzi do wymarszu. Zdziwiło mię to niepomału; nie nadmieniłem jednak nic w tym przedmiocie dowódcy, tembardziej, że złączył się z nami przy pierwszym spoczynku, tłumacząc się przed oficerem zgubą jakiegoś świecidełka w pobliżu miejsca gdzieśmy nocowali. Zapytałem go później przez Józefa o powód opóźnienia: odpowiedź jego była z początku wymijająca, w końcu przyznał się niby, że kiedy rozwinął swój *patsoo* by go zarzucić na głowę węża, sakiewka zawiązana w kraj odzieży wysunęła się i wpadła w krzaki. Powróciwszy postrzegł zgubę, i dziś rano udał się na miejsce i odnalazł swoje pieniądze. Rzecz przedstawiała wiele prawdopodobieństwa, musiałem się na ten raz zadowolić tą odpowiedzią.

Teraz gdy jesteśmy w podróży będzie może najwłaściwiej powiedzieć słów kilka o położeniu gór Mahoo-Thoung, o znajdujących się tamże pokładach drogich kruszców, wreszcie o wydobywaniu i płukaniu złota nagromadzonego w korytach rzek wypływających z ich łona.

Od punktu, w którym Himalaje dając przejście rzekom Burramputra, Irrawady, Santsang-Khyang i innym lecą podłużnym szlakiem okalać Butan oddzielając go od Chin i Birmanji, od tego punktu góry Mahoo-Thoung pod 28 stopniem szerokości północnej a 96° długości wschodniej, odbiegają od głównego łańcucha grupą wyżyn sięgających 5.000 do 6.000 metrów wysokości; jest to dziedzina wiecznych śniegów. Ztamtąd ciągnąc się wzdłuż doliny Assam, kierują się w stronę zachodnio-południową, a następnie szerokim pasem rozścielają nad dawnem królestwem Kathay, a dzisiejszym Munipuri. Królestwo Kathay, które w średniowiecznej historji wypraw missjonarskich, tak wielką gra rolę, zostało w 1758 roku podbite przez słynnego Alompra wskrzesiciela monarchji Birmańskiej, a w 1826 r. Anglicy po licznych sukcesach uzyskawszy przewagę nad Birmanami i nad rajahami Tiperaru, przywłaszczyli sobie część Munipuri, i w tej okoliczności góry Mahoo-Thoung, posłużyły im za punkt odgraniczający.

Pomimo że władza Anglików nie rozciąga się po za mury stolicy Munipuri, i innych miast jak Thobol, Langthabal, Yajgo, gdyż ludność miejscowa składa się z samych górali walecznych i ceniących swoją niepodległość, miejscowości te przedstawiają z punktu widzenia strategicznego niezmierne korzyści. Anglicy przez zajęcie Munipuri, Arakanu, Pegu i Martabanu panują nad linją graniczącą Birmanji, i w chwili gdy zechcą zadać stanowczy cios nic im nie stanie na przeszkodzie.

Łańcuch gór Mahoo-Thoung, okolony jest samemi dolinami i rzekami niby półwysep, i jedna z tych rzek przerzynając go w całej szerokości, dzieli na dwie części, zlewając następnie wody swoje z wodami Khyenduen. Ludność tych okolic w następujący sposób jest rozmieszczona: od północy zamieszkują Syngphoosy, Shansowie i Nagasy; na wschód wzdłuż rzeki Khyenduen są Kadosi; na południe jeszcze Shansowie z zachodu Kathowie i Kacharysi.

O ile terytorjum Kadosów, którego samotne przestrzenie przebyliśmy przerzynając się do Khyenduen, obfitują w drzewo budulcowe, w bambusy, rotang, substancje gumowe, smolne, włókniste, werniksy, o tyle spadzistości i doliny Mahoo-Thoung, bogate są w rośliny, krzewy i drzewa, dostarczające materji farbiarskich, garbniczych i lekarskich substancyj. Jest tam szafran cenny, rumbarbarum, prawdziwe *kino* czyli *nauclea gamber*, granat którego korzeń jest najlepszym lekarstwem przeciwko robakom, parę gatunków indyga, herbaty, ryżu, suche rośliny strączkowe silnie działające, inne dostarczające farby czerwonej, paprocie, i różne odmiany jaskieru z którego liści, kwiatów, i owoców wyciągają *aconit*. Ten produkt stanowi ogólny środek lekarski wszystkich szarlatanów kontynentu azjatyckiego. Czasem używają go z niejakim skutkiem, i jeżeli nie zabije chorego, to niekiedy pomoże na bole reumatyczne, łamanie w kościach, newralgię i paraliż oczny dość rozpowszechniony w tych stronach. Służy on także do przyrządzenia preparatu, którego jest główną esencją, z doprawami części paproci, gumy kateszu i dragantu, kiny, liści róż zmięszanych z miodem, lub inną substancją lepką i tę miksturę sprzedają we wszystkich bazarach Indji pod nazwą goryczy *bishmac*.

(C. d. n.)

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

CZĘŚĆ DRUGA.

VI.

Pan Krzysztof należał do wybitniejszych osób w powiecie, a nawet w całym dawniejszym obwodzie. Wprawdzie stanowiska swego nie zawdzięczał wielkiemu rozwojowi siatki mózgowej, bo jeżeli hr. Olpiński utrzymywał, że kobiety uciekają od historji i filozofji jak czart od wody święconej, to o panu Krzysztofie możnaby powiedzieć, że tak samo unikał każdej książki, skutkiem czego zaledwie nauczył się czytać i pisać; ale że miał kilka folwarków intratnych i pół miljona w gotówce, o czem powsechnie wiedziano, więc mimo ubóstwa intellektualnego, należał do potęg, z któremi świat chętnie się liczy.

Dziad pana Krzysztofa był prostym wieśniakiem, ojciec awansował już na ekonoma u jakiegoś magnata na Podolu. Magnat był rozrzutny, ekonom oszczędny; magnat trwonił majątek za granicą, ekonom tuczył się w domu pieniądzmi swego pana; magnat stracił wszystko i zamieszkał u zięcia na łasce; ekonom zebrał kilkadziesiąt tysięcy, które synowi zostawił. Otrzymawszy taki kapitał, p. Krzysztof zaczął wypasać woły i karmić wieprze, które do Niemiec wysyłał. Majątek rósł w jego rękach jak na drożdżach, a gdy wystawiono Dąbrówkę na licytację, kupił ją tanio i został szlachcicem.

Najbieglejszy heraldyk nie mógłby może udowodnić, jakim herbem pieczętuje się rodzina Parczuków, do której pan Krzysztof miał zaszczyt należeć; ale odkąd właściciel Dąbrówki z przyległościami przerwał się Parczukowskim, sprawa była nierównie łatwiejszą, bo odtąd do herbarza nikt już nie zaglądał. Mała wioszczyna i nazwisko kończące się na *ski* lub *cki* robią u nas każdego szlachcicem, cóż dopiero jeśli takie nazwisko jest poparte pięciu wioskami w pszennej ziemi i pół miljonem w gotowiźnie! To już nie szlachcic prosty, to magnat cały! Mimo to pan Krzysztof nie lubił, gdy w jego obecności mówiono o dorobkiewiczach, pozujących na szlachtę rodową; za to przepadał za tymi, którzy zwracali się doń mówiąc: My szlachta! Wtedy był gotów wszystko uczynić, nawet pieniędzy pożyczyć, chociaż była to z pewnością najdrażliwsza struna w jego duszy, tak zresztą wylanej dla kochanych sąsiadów i stokroć droższej braci szlachty. Słabą tę strunę Damazio w czas odkrył, to też grał po niej kiedy i jak chciał.

Pan Krzysztof musiał lubić pieniądze, bo jak wiemy, prócz pospolitego przysłowia „panie dobrodzieju“ — miał jeszcze drugie, własne „dałbym pięć reńskich“ — i musiał być bardzo oszczędnym, gdy w nadzwyczajnych tylko wypadkach cyfrę pięciu podnosił do pięćdziesięciu i stu reńskich. Tu jednak zatrzymywał się, i z sąsiadów nikt jeszcze nie słyszał, by właściciel Dąbrówki z przyległościami zagalopował się kiedy po za ową granicę stureńskówką, którą mu oszczędność zakreśliła. W początkach, gdy zamieszkał w powiecie, sąsiedzi nie mogli wstrzymać się od śmiechu, ilekroć usłyszeli to dziwaczne przysłowie; później przestali na nie zważać, bo do czegóż człowiek nie przyzwyczai się z czasem.

Gdy wózki z gośćmi zajechały przed ganek, dwór był już oświetlony *a giorno*; gospodarz wyprzedziwszy wszystkich wpadł pierwszy do domu i tak głośno, że go na drodze było słychać, wydawał rozkazy całej służbie męskiej i żeńskiej.

W lot pojawiło się wino, herbata, potem mięsiwa, czego kto zapragnął.

— Proszę panów, jedźcie, pijcie! — wołał gospodarz ocierając pot z czoła. — Dla kochanych moich sąsiadów wszystko, słowo honoru wszystko, już taka moja natura! Może wódeczki, może herbaty... może kapłona, pieczeni, jendyka; może wina lampeczkę! A dobre wino, słowo honoru dobre, prawdziwy tokaj stuletni. Jeszcze mój pradziad ściągał go w swojej piwnicy. Pro-

szę kochanych sąsiadów, proszę, przecie my szlachta pić umiemy!

Goście pili, śmieli się, żartowali, gospodarz uśmiechał się także z zadowolenia.

Edmund siedział w tłumie osamotniony, z twarzą stosowniejszą na pogrzebie, niż w towarzystwie tak wesołem. W ręku trzymał kieliszek złotym płynem napełniony — w nim utonęło jego spojrzenie. Widział Herminę wracającą z miasteczka, widział jej uśmiech zagadkowy a tak luby, czuł uścisk jej rączki — słyszał jak mu powiedziała, że wraz z Tonią nauczy go cierpliwości... Co to miało znaczyć?... Jakie jej zamiary? Ona... i Tonia?...

Ścisnął kurczowo kieliszek w dłoni tak gwałtownie, że aż złoty napój na stół bryznął, i podniósł go do góry wołając:

— Zdrowie gospodarza!

— Zdrowie! Niech nam sto lat żyje! Kochajmy się! — zagrzmiało do koła.

Spełnili toast, potem drugi, trzeci. Edmund nie opuścił żadnego — twarz mu poczerwieniała — oko lekko krwią zabiegło. W miarę, jak się wypróżniały kieliszki, stawał się weselszym, mowniejszym, prawie odurzonym.

— Tak, to lubię! — zawołał gospodarz, który sam prawie nie pił, rzucając się Edmundowi na szyję. — Pan Krzemiński siedział ciągle jakby trzech zliczyć nie umiał, ale słowo honoru, teraz widzę że pan nie arystokrata.

— Nie! nie! — wtórowali drudzy, — on szlachcic, dobry szlachcic!

— Słowo honoru ja zawsze mówił, że my szlachta nie damy się! A ci arystokraci, słowo honoru dałbym pięć reńskich, żeby ich djabli wzięli!

— Ma rację, ma rację potwierdził jakiś głos chrypliwy.

— Ale panowie nie jedzą, nie piją, proszę, bardzo proszę, ja dla kochanych sąsiadów wszystko, choćby krwi z pod serca, słowo honoru wszystko, już taka moja natura.

Było po północy, gdy do sali wszedł służący gospodarza. Zbliżywszy się do pana Krzemińskiego, powiedział, że w przedpokoju czeka Grześ i prosi, by jego pan raczył wyjść na chwilę. Edmund zdziwiony szybko powstał i nie postrzeżenie wymknął się do przedpokoju.

— Czego chcesz? — zapytał chłopca?

— Proszę jaśnie pana, możeby już czas, — rzekł Grześ zakłopotany.

— Co za czas, jaki czas?

— Możebyśmy do domu pojechali, już kury...

Nie dokończył bo pan gniewnie przerwał.

— A tobie co do tego! Już ja wiem kiedy czas! Idź i koni pilnuj, a tu mi się nie pokazuj!

Grześ wyszedł zasumowany, Edmund wrócił do towarzystwa. Przy zielonym stoliku zebrało się tymczasem kilkunastu panów. Grano w djabełka. Damazio stał pośrodku z kartami w rękach.

— Edmundzie! Edmundzie! — zawołał na wchodzącego, pociągnij kilka razy, bo nawet nie wiemy, czy masz szczęście w karty.

— Dajcie mi pokój, ja w karty nie grywam, nawet ich nigdy w ręku nie miałem.

— Ale popróbuj Edmundzie! Człowiek dojrzały powinien wszystko umieć. Popatrz tylko jak to łatwo. Jedna twoja, druga bankowa. Bijesz ile ci się podoba, naprzykład pięć reńskich, ulubioną kwotę kochanego gospodarza... Raz, dwa, trzy — widzisz byłbyś wygrał.

— Nie będę grał, nie będę, nawet pieniędzy nie mam przy sobie.

— Sąsiad dobrodziej nie ma pieniędzy? — zawołał pan Krzysztof, wyjmując z bocznej kieszeni surduta niepospolitej grubości pugilares. — Wszystko co mam na pańskie usługi! Słowo honoru, cały majątek... już taka moja natura.

— Nie odmawiaj Edmundzie — perswadował luby Damazio; — kochany nasz gospodarz mógłby się obrazić, a jak co przegrasz, to mu jutro oddasz. Przecie nie jesteś sknerą.

Edmund był jeszcze zbyt młodym, by mógł słuchać obojętnie strzałów wymierzonych przeciwko jego miłości własnej. Jakiś czas opierał się jeszcze, ale gdy pan Damazy przypuścił ponowny atak do jego ambicji, wziął pugilares usiadł przy zielonym stoliku.

Zpoczątku kilka razy wygrał, co go zabawiło, a potem kilka razy przegrał i to go podrażniło. Zwiększał stawki — ciągle przegrywał. Tymczasem kieliszek napełniono mu tokajem, dokoła było tak gwarno, i wesoło, a Damazio po każdej przegranej nachylał mu się do ucha szepcąc:

— Widzę żeś w miłości szczęśliwy...

Grześ po rozmowie ze swoim panem poszedł do stajni. Tu chwilę podumał, potem odpiął jakiegoś konia stojącego przy samej bramie, wyprowadził cichaczem, siadł i kierując go tylko uździenicą, a popędzając prętem, który z płotu wyłamał, ruszył prosto do domu. Koń był na szczęście bardzo dobry, kłus miał niezrównany; nie upłynęło pół godziny i Grześ był już w Romanówce. Wodę w bród przejechał.

Tonia przechadzała się po salonie, czekając na męża, gdy weszła służąca z oznajmieniem, że Grześ przyjechał. W pierwszej chwili biedna kobieta tak się przelękła, że chwyciwszy się za piersi nie mogła przemówić. Odzyskawszy jednak przytomność, dała znak ręką, by chłopiec zaraz przyszedł i zsunęła się bezwładnie na fotel najbliższy.

— Ty sam? — zapytała wchodzącego.

— Sam, proszę jaśnie panią... ale to nic... My jesteśmy w Dąbrówce, tam tak wesoło, tak się bawimy! My tu zaraz wrócimy.

— Więc pan przysłał cię by mnie uspokoić?

— Aha... tak, pan przysłał... My tu proszę jaśnie panią zaraz wrócimy, niech jaśnie pani będzie spokojną.

— Dobrze, dobrze mój Grzesiu. Kłaniaj się panu i powiedz, że jestem spokojniejszą...

Po odejściu służącego, Tonia wolniej odetchnęła.

Właśnie gdy Grześ wróciwszy przez nikogo niewidziany przypinał konia w stajni, pan jego przegrał szósty tysiąc, co gospodarz dla pamięci zanotował na ćwiartce białego papieru. W tej samej chwili gdzieś daleko we wsi dał się słyszeć żałosny głos dzwonka.

— Co to? — zapytał Edmund karty z rąk puszczając i głowę do góry podnosząc.

— Dzwonią na Anioł Pański — odpowiedział ktoś z obecnych.

Edmund spojrzał na zegarek.

— To być nie może, dopiero czwarta.

— Aha! — wtrącił gospodarz — to pewnie księdzowa umarła. Biedna kobieta chorowała od pół roku... pięcioro dzieci... poczciwe księżysko! Słowo honoru, dałbym pięćdziesiąt reńskich, żeby była żyła! Kłopot, słowo honoru kłopot, trzeba się będzie zająć sierotami.

— Wieczne odpoczywanie! — zakonkludował p. Damazy — a my żyjący do pracy, bo jeszcze dużo w banku.

— Bawcie się panowie, bawcie jeżeli możecie — rzekł Edmund powstając. — Mnie czas do domu. Polecam się łaskawej pamięci pana gospodarza... pieniądze przyślę za kilka godzin.

Ton jego mowy tak był poważny, że nikt mu się nie sprzeciwił. Spiącemi oczyma spojrzeli po sobie i wszyscy zamilkli. Edmund skłonił się uprzejmie, poczem wyszedł.

Nie siedział jeszcze na wózku a już całkiem był trzeźwy. Ten żałosny głos dzwonka oblał go jak zimną wodą. Grześ popędzał konie i konie biegły jak szalone, ale nad wodą musieli czekać całą godzinę zanim przewoźnicy nadeszli. Konno można było w bród przejechać, wózkiem nie sposób; wprawdzie Edmund chciał tego koniecznie, ale Grześ stanowczo się sprzeciwił, ponieważ mimo niskiego stanu wody, rzeka miała prąd tak silny, że z pewnością byłaby wózek wywróciła i uniosła.

Już dzień robił się jasny, gdy do domu dojeżdżali. U wszystkich okien story były pospuszczane, z wyjątkiem jednego, które wychodziło z sypialni żony. Edmund wstrząsł się jak w febrze gdy przez to okno w głębi pokoju dostrzegł migające światło lampy.

Więc Tonia jeszcze czuwała!

Wszedł cicho na palcach, minął przyległe pokoje, a odchyliwszy portjerę ponure spojrzenie rzucił przed siebie. W kolebce spało dziecię, obok niańka, we fotelu przed lampą żona. W ręce trzymała jeszcze książkę; znużoną tu sen zaskoczył. Piękna główka, jak z obrazu wycięta, spoczywała na piersi, którą od czasu do czasu ciężki oddech podnosił, na ustach igrał uśmiech słodki, łagodny — ale bolesny...

Chwilę wpatrywał się w ten widok, lecz gdy spiąca poruszyła się pod magnetycznem spojrzeniem męża, cofnął się przerażony i pobiegł do swojej sypialni. (C. d. n.)

Błogosławieństwo.

Opowiadanie starego wiarusa z czasów wojny hiszpańskiej.

Dowolny przekład z T. II: Coppée'go.

Owoż w „roku dziewiątym“ młody mój kolego,
Wzięliśmy Saragossę; — forteca niczego,
Niby krwawnik w sygnecie osadzona w Sierrach.
Byłem wtedy sierżantem w gwardji woltyżerach,
Po wyjściu mem z szpitala, dziennym ordynansem
Przeniesion tam z legjonu z wstążką i z awansem,
Bo podczas gdym się z ran mych lizał w lazarecie
Poszli nasi Murzynów bić aż w „Nowym świecie“
I tak — sierota Polak z łaski tych tu guzów
Dostałem się sam jeden do pułku Francuzów.

Więc byłem — jak to mówią — już nie w pierwszem polu,
Obszedłszy od piramid, hen, do Neapolu
Niemal połowę świata z karabinem w ręku.
I bywałem w potrzebach, gdzie nieraz od lęku
Najmężniejszym na głowie dębiły się włosy...
Ale to wszystko furda w obec Saragossy!

Straszne to były jatki! Dzień sądu prawdziwy,
I nieraz sam się dziwię, że cały i żywy
Wyszedłem z tych opałów. Od świtu jak snopy
Padali nasi; wreszcie wzięliśmy okopy.
Wchodzim breszą do miasta, mosanie, aż owo
W mieście trza było walkę zaczynać na nowo.
I brać szturmem dom każdy, zkąd ukryty zdradnie
Gradem nas kul zatrutych raził wróg szkaradnie.

Więc traciliśmy ludu mnogo z każdym krokiem;
Wiara, walcząc od świtu z krwią nabiegłem okiem,
Z usty, od rozrywania tulejek ładunku
Czarnemi, spieczonemi, nie do pocałunku,
Klęła wroga, co walczył chytrą zdradą węża,
Szepcąc sobie po cichu, „że to winni księża!"
Więc gdy się pojawił kaptur jaki skrycie,
Unoszący cichaczem swe mizerne życie,
To bez namysłów długich, z przyjemnością prawie
Tłukliśmy tę hołotę, jak kaczki na staw .

Batalion nasz w kolumnie szedł wąską ulicą;
Ja byłem w awangardzie, sto kroków za szpicą,
I kroczyłem w mej czwórce, okiem w lewo, w prawo,
Wodząc czujnie po dachach. Po nad bitwy wrzawą,
Przygłuszając huk strzelby i oręża szczęki,
Wzbijał się płacz i kobiet mordowanych jęki.
Powietrze wrzało skwarem, tak jak piec wapniarni;
Słońce na kształt ogromnej czerwonej latarni
Przyświecało ponuro z po za dymu słupów;
Co krok przełazić wały wypadało trupów,
Lub omijając rannych krwawe deptać błoto.
Domy podziurawione od kul jak rzeszoto,
Przybierały zdradliwie pustkowia pozory;
Żołnierze wstępowali w te plugawe nory
Chyłkiem, ostrożnie, ciszkiem, pełzając jak krety,
A potem z czerwonemi wróciwszy bagnety,
Ocierali stal ręką, i kładli na mury
Dłonią we krwi zbroczoną znak krzyża ponury,
Świadczący, że zrobiono w tym domu porządek...
Bo w tych zaułkach strasznych, radził nam rozsądek
Zabezpieczyć się dobrze, nim człek stąpił nogą,
Że się nie zostawiło za sobą — nikogo.

Szliśmy bez tarabanów, bez trąb i piszczałki,
Starszyzna w zamyśleniu; nawet stare śmiałki,
Wiarusy łokciem pilnie szukający czucia,
Markotni, jakby marła w nich dusza rekrucia.
Nagle u skrętu owej wąziutkiej ulicy
Ostrzeżono nas znakiem alarmu od szpicy.
Stajem... krzyk słychać: „*A l'aide*" — po naszemu — „Ratuj!"
Skoczyliśmy w te tropy wziąwszy bronie na „tuj"
I wpadliśmy w sam środek grenadjerów roty,
Pierzchających haniebnie przed garstką hołoty,
Broniącej krucht klasztoru przed naszych napadem.
Było tam z dwie dziesiątki mnichów, z licem śniadem,
Z golonemi głowami, i w kucie odartej,
Z rękami zbroczonemi we krwi — istne czarty,
Którzy na karki naszych usiadłszy żołnierzów,
Sromotnie mordowali ich — drzewcami krzyżów.
Był to widok okropny! Salwą plutonową
Daliśmy ognia w straszną kupę mnichów ową:
Mściwie, złośliwie, z wściekłą zajadłością zbirów
Zmietliśmy tę okropną garstkę bohatyrów.
Bo żołnierz był już bojem strudzon niewymownie
I czuł w sercu katowską złość a w mózgu głownie.
Potem, kiedy osiadły ciężkie dymów słupy,
Ujrzeliśmy przed sobą czarne mnichów trupy,
I potok krwi z pod ciał tych po wschodach płynący
I w głębi kościół czarny, olbrzymi, milczący...

Razem z całym plutonem, krocząc jakby senny
Wszedłem do tej świątyni. Był to gmach kamienny,
Ponury, pełen dymu smętnego jałowcu,
A cicho wewnątrz było, jak gdyby w grobowcu,
I jak w grobowcu zimno. Ołtarzowe świece
Migały chorym blaskiem, jak one gromnice
Co na mogiłkach wiejskich płoną w dzień zaduszek.
U wielkiego ołtarza stał kapłan staruszek;
Do ofiarnego stołu obrócony twarzą,
W ornacie, w pośród świec tych co się smętnie jarzą
Samotny tak jak palec, i bielszy od mleka,
A wzrostem ponad miarę wyniosły człowieka,
Stał kończąc służbę Bożą — zatopion w modlitwie,
Jak gdyby ani wiedział o wrogu i bitwie.

Okropne to wspomnienie tak mi się w mózg wpiło,
Że go już ztamtąd żadną nie wydobyć siłą,
Że mi się będzie pewno nawet w grobie śniło,
Bo dziś, gdy Waszmość Pana tą powieścią bawię,
To widzę tutaj wszystko — wszystko jak na jawie,
Te czarne trupy mnichów, ten klasztor ponury
Te krwią dymiącą wschodów pluszczące marmury,
Ten dym, a nad nim słońce niby Boskie oko,
I tę bramę kościelną rozwartą szeroko,
I onego kapłana w blasku świec jarzących,
I nas jak w ziemię wrytych, i prawie tchórzących...

A teraz mi wypada przyznać Waszmość Panu,
Że choć jak u nas dzieci włościańskiego stanu
Wychowany zostałem w domu bogobojnie,
Tom już stracił był wiarę w obozach i wojnie,
I klałem już z francuska na czem świat ten stoi;
Ba nawet raz by dowieść że się człek nie boi
Ani Boga ni djabła, przy szturmie kaplicy
Zapaliłem mą lulkę u ołtarnej świecy;
Więc zgadniesz żem przesądów nie miał i za szeląg.
Lecz ten ksiądz był tak biały, żem się go aż przeląkł!

— „Pal!" — zawołał oficer.

Nikt nie drgnął. Wśród ciszy
Musiał ksiądz głos ten słyszeć dobrze, lecz że słyszy
Nie dał poznać, i niczem nie zdradzając lęku,
Zwrócił się do nas twarzą z swą monstrancją w ręku,
Jak to czynią kapłani, gdy pod koniec sumy
Zwracają się do wiernych błogosławiąc tłumy.
I widzieliśmy wszyscy, gdy za mgłą kadzideł,
Z ramiony wzniesionemi w górę, na kształt skrzydeł,
Stał jakby na obłoku, kreśląc krzyż w przestrzeni,
Że nie drży. Więc spokojem jego przerażeni
Cofnęliśmy się wszyscy. On wznosząc głos słodki,
Spokojny, jak by przed nim tu stały dewotki,
Nie wróg dyszący zgubą jak wulkanu krater,
„*Benedicat vos* — rzecze — *omnipotens Pater*!"

A w chwili gdy swym głosem echa budził śpiące
— „Pal! — wrzaśnie znów oficer — wy tchórze, zające!"

Wtedy łotr jakiś podły, choć żołnierz nazwiskiem
Wziął na cel i wypalił. Śmiertelnym pociskiem
Tknięty zbladł starzec strasznie, ale niezachwiany,
Nie spuszczając nas z oczu, gdzie śmierci blachmany
Ponury lecz spokojny blask rozświecał męztwa,
Nakreślił znów w powietrzu znak błogosławieństwa
Mówiąc zwolna:

„*Et Filius!*"

Ach! nie wiem do dzisia
Zkąd się w żołnierzu wzięła ta dzikość tygrysia,
Dość na tem, że strzał nowy przeszył pierś kapłana.
Starzec dłoń jedną wsparłszy na ołtarzu Pana,
Drugą podniósł raz jeszcze monstrancję do góry,
Że świeciła jak słońce w pośród dymu chmury,
I kreśląc po raz trzeci znamię przebaczenia,
Głosem cichym, złamanym, lecz w pośród milczenia
Słyszalnym, gdyż zgiełk cisza zastąpiła głucha,
Rzekł:

„*Et Spiritus sanctus!*"

i upadł bez ducha!

Monstrancja się stoczyła po wschodów marmurach
Budząc brzękiem swym echa w kaplicach i chórach.

Trzymając broń do nogi, nawet wygi stare
Patrzaliśmy na mord ten i na tę ofiarę
Niemi, jakby złamani tym strasznym widokiem,
A podczas gdyśmy stali tak z wilgotnem okiem,
Z głową ciężko zwieszoną na pierś bez oddechu;
Amen! — zaryczy dobosz, krztusząc się od śmiechu.

Włodzimierz Zagórski.

Obrazy z Ameryki.

F. GERSTAECKERA.

I.

(Ciąg dalszy.)

— *Damn Your eyes* — a pocóż pytacie, czy noszę drzewo, wszak widzicie, że tu siedzę i śpię?

— A! hultaju jakiś! Precz mi stąd! Zaraz ruszaj do roboty, *i be damned!* — zakonkludował oburzony drwinami *mate*.

— No, no! tylko nie tak ostro! — mruczał drągal wyciągając się powoli. — Przyjdę jeszcze dość wcześnie... — i noga z nogi powlókł się niedbale na przednią część statku.

— A wy tu nosicie drzewo? — pytał *mate* dalej, zwracając się do grupy niemieckich wieśniaków, którzy dopiero niedawno przybywszy z za ciasnej im ojczyzny, słowa nie rozumieli po angielsku, i za całą odpowiedź ruszali głowami przecząco, co tak dobrze znaczyć mogło, że nie obowiązani byli do tej roboty, albo też nie rozumieli pytania.

— Oho... wiem, wiem... — mruczał zły *mate* — chcecie się sianem wykręcić... do *you wood* *) powtórzył z wolna i z naciskiem, giestykulując przytem rękoma w sposób przypominający żądaną robotę.

— Ty, co chce od nas ten błazen? — pytał zadziwiony szwab drugiego.

— Czy ja wiem. Popatrz tylko, jakie on fąfry stroi.

— Nie rozumiemy ani słowa, mój panie! — zawołała średniego wzrostu Niemkini, a tak podniesionym głosem, na jaki ją stać było, bo sądziła naiwnie, że ją tym sposobem *mate* prędzej zrozumie.

Szczęściem dla obu stron, nadszedł jakiś podróżny, który mówił trochę po niemiecku, i objaśnił szwabom, o co rzecz idzie. Że zaś należeli do międzypokładowców po cztery dolary za „sztukę", i co im przyznać trzeba, byli ludźmi sumiennymi, więc bezzwłocznie porzucili nadpoczęte właśnie jadło i poszli do roboty.

Na brzegu leżały przygotowane już dla Oceanika liczne stosy drzewa. Rąk było wiele, znoszenie szło żwawo, i za pół godziny robota była na dziś ukończoną. Dodamy tu nawiasem, że statek nasz zpotrzebowywał na dobę trzydzieści do trzydziestupięciu sągów twardego drzewa. Pościągano linwy i pomost, a za chwilę Oceanik ze zwykłą szybkością przecinał pieniące się, żółte fale rzeki.

II.

Ciemności nocy opadały zwolna na „rodzica wód," jak Indjanie rzekę Mississipi nazywają, a pilota coraz bardziej oddalał się od brzegu na środek rzeki, aby nie natrafić mimowolnie na często wysterczające a tak niebezpieczne dla statku *snag'i*. Niebawem zajaśniały na obu brzegach rzeki w rozmaitych punktach ognie, rozniecone na znak dla okrętów, że w tych miejscach były składy drzewa, t. z. *wood-yard*.

Ognie te są nocnem dziełem murzynów. Ilekroć usłyszą z dala zbliżający się rzeką statek, co wśród ciszy i przy pomyślnym wietrze nietrudną jest im rzeczą, nawet w oddaleniu dziesięciu mil angielskich, — natychmiast rozkładają suty ogień, a jeśli okręt, zwabiony tym znakiem wyląduje i zakupi drzewo, murzyni ci dostają po ćwierć dolara nagrody od właściciela składu. Atoli ile to razy przez noc taki biedak zerwie się nadaremnie z twardego posłania, na które zapracował gorzko całodziennym trudem? Rozpali ogień, czeka pół i całą godzinę, aż statek zrówna się z tem miejscem, i w końcu widzi ze smutkiem, że popłynął dalej, widocznie nie potrzebując drzewa. Zawiedziony w nadziei zarobku, gasi ogień, zostawiając trochę żaru w popiele na następną próbę, i rzuca się napowrót na twardą ziemię. Pomimo nad wyraz dusznej atmosfery, zawija się cały w wełnianą kołdrę, bo choć gorąco nieznośne oddech mu tamuje i poci się, jak w łaźni, woli to wszystko, niżeli jadowite uką-

*) Wy — nosicie drzewo.

szenia moskitosów, któreby go w przeciwnym razie zażarły do oszalenia z bolów.

Przy jednem takiem ognisku na prawym brzegu rzeki, w oddaleniu półtorej mili (ang.) ujrzeliśmy że ktoś płonącą głownią drzewa, widną wśród nocy zdaleka, robił liczne poruszenia w powietrzu. Kapitan domyślił się zaraz ich znaczenia; na jego rozkaz pilota skierował statek ku temu miejscu, i gdyśmy się zbliżyli na oddalenie pół mili, łódź obszerna popłynęła do brzegu. W kwadrans wróciła, zapełniona świeżymi podróżnymi. Tymczasem w kajucie towarzystwo zajęte było rozmaicie. Mr. Gray grał z jakimś młodym zapaleńcem partję po partji w szachy, aplikując mu w każdej kategorycznego mata, — a zawsze wesoły Simmons wynalazł był sobie trzech partnerów, i zasiadł z nimi do partji *eucre'a*, gry w Ameryce bardzo rozpowszechnionej i lubianej. — Blady nieznajomy, którego poznaliśmy byli na *boilerdeck'u* obok Simmonsa, a który zarekomendował się później jako Mr. Smith — ajent fabryczny z Londynu — zaprosił myśliwego Nowojorczyka do hazardownego *poker'a*. W ten sposób zabawiali się do godziny jedenastej, poczem udali się na spoczynek.

Następny dzień spłynął wczorajszym trybem. Wieczorem około godziny szóstej, Oceanik zbliżał się do miasta Natchez, i na jakie tysiąc kroków od brzegu, kapitan kazał zadzwonić, na znak, że zamyśla tu wylądować.

Że miał ztąd zabrać partję towarów, więc przymocowano statek do brzegu. Jak rój szarańczy spadł tłum ciekawych i interesowanych, i zanim zarzucono pomost, już wielu niecierpliwych dostało się sztucznie na pokład — szukając tu bądź oczekiwanych, bądź spodziewanych tylko znajomych. Dalej wylęgli chłopacy z koszami pełnemi owoców i wiktuałów, za nimi młode dziewczątka w bieli z przysmakami rozłożonemi na czyściutkich i lśniących tacach.

Po upływie godziny naładowano towary, kilku pasażerów wysiadło, inni przybyli na ich miejsce. Głos dzwonka sygnałowego rozległ się donośnie po dwakroć, a na to hasło powtórzyła się zwykła scena przy odpływaniu okrętów. Jedni uciekali na brzeg, inni cisnęli się na pokład, wszyscy narzekając w duchu na kapitana, że nie chciał zatrzymać się jeszcze z kwadransik. Ręczę, że gdyby był nawet drugą godzinę stał u brzegu, ten „kwadransik“ byłby równo zabraknął każdemu. Nareszcie statek ruszył z miejsca, i z hałasem pożegnał miasto.

— Hej! hej! poczekajcie! muszę przecie wyjść na brzeg! — odezwał się nagle jakiś głos chrypliwy. Równocześnie ukazał się jego właściciel na pokładzie, mocno zalterowany, mały, gruby człowieczek, w białym żakiecie i białym kapeluszu filcowym, o karmazynowej, nabrzękłej twarzy. Domyślicie się łatwo, jakie *gaudium* sprawił jego widok wszystkim międzypokładowcom! — Zatrzymajcież prędzej statek, bo nie mam czasu! — wołał dalej energicznie.

Na to *mate* popatrzył w górę pytająco na kapitana, który stojąc na *hurricane deck'u* przypatrywał się całej scenie z uśmiechem i w milczeniu. Widząc jednak, że kapitan wcale nie myśli wziąć sobie do serca błagalnych wykrzyków grubego obywatela, tem mniej pozwoliłby zapewne na podwiezienie go do brzegu szalupą — zabrał się obojętnie do swego zatrudnienia. Kazał położyć pomost na zwykłem miejscu, świeżo przybyłe towary ulokował w magazynie, dopilnował oczyszczenia pokładu, i t. d. — tymczasem zaś niechętny przejażdżce przymusowej karmazynowy obywatel Natchezu, biegał od jednego do drugiego, skarżył się i klął siarczyście na przemiany.

— *Bless your soul!* Kochany kapitanie... — zwrócił się do jednego z majtków, awansując go od razu na kapitana — co ten przyjął z zimną powagą. — Każ pan zatrzymać statek, niech mię djabli żywcem wezmą, jeśli nie muszę koniecznie być dzisiaj wieczór w Natchez... a tu jak szalony pędzi ze mną wasz okręt; licho wie, gdzie i poco... Zatrzymajcie go do djaska — zatrzymajcie... wszak ja nie należę do pasażerów! — Ale wszystko na próżno, nikt nie współczuł jego nieszczęsnej doli, przeciwnie każdy śmiał mu się w oczy nielitościwie! Podrażniony do ostateczności, biegał drobnemi krokami po pokładzie i przeklinał kapitana, okręt, Natchez, a w końcu samego siebie i swoją głupotę, skutkiem której, jak się wyraził, stąpił nogą na taki nędzny i lichy statek, jak Oceanik.

— Jakże daleko uwieziecie mnie? zapytał po półgodzinnej pauzie *mate'a*, który wsparty o poręcze przypatrywał się z oburzającą zimną krwią, jak on biedaczek rzucał sobą do upadłego, a potem, niby wachlarzem, chłodził spotniałe czoło szerokokresym kapeluszem.

— Aż do najbliższego *wood-yardu*... — brzmiała odpowiedź *mate'a*.

— Daleko-że ten *wood-yard?* podchwycił skwapliwie mały nieznajomy, zaprzestając wachlowania na chwilę.

— Nie wiem...

— Więc mam całą noc przepędzić nad rzeką, bez siatki, bez okrycia? To chyba te moskitosy bestje, zjedzą mnie z kretesem! — skarżył się nieszczęśliwiec z niekłamanym żalem.

— Być może... — odparł sucho *mate*.

Głębokie westchnienie było całą kokluzją zrozpaczonego Natchez'czyka. Zdał się na łaskę losu i z spokojem wyczekiwał dalszych jego na dzisiaj wyroków. A nie mógł postąpić sobie roztropniej, bo oczekując w kącie spokojnie lądowania statku, przynajmniej oszczędził sobie widoku uśmiechów szyderczych i drwiących. Około godziny jedenastej w nocy, Oceanik przybił do lądu. Jednym skokiem dostał się strapiony Natchezczyk na brzeg, i znikł coprędzej z oczu załodze, żegnającej go przeciągłym, wesołym śmiechem. Wróćmy do towarzystwa na pokładzie.

Simmons zasiadł i dziś do partji *eucre'a*, przyczem opowiadał tysiączne anegdoty i żarciki, pobudzające obecnych co chwilę do głośnych wybuchów śmiechu. Po każdej ukończonej partji udawali się wszyscy do *bar'u* i zapijali sprawę na koszt przegrywającego.

Mr. Smith i Nowojorczyk grali, jak wczoraj, *poker'a*, a Mr. Gray stał na *boilerdeck'u* i oparłszy gorące skronie o słup barjery, patrzył zamyślony na nadbrzeżne lasy, które błyszczały mirjadami świecących chrząszczyków, i wspaniały widok tworzyły z tą niezwykłą illuminacją, iskrzącą się prześlicznie wśród czarnej nocy.

Smutne musiały być myśli wirujące po głowie zadumanego Gray'a, bo i źrenice miał łzą zwilżone, i westchnienia dobywające się z głębin piersi, od czasu do czasu rozrywały mu snać od bolu zciśnięte usta.

— Gray! hej Mr. Gray! — zawołał wesoło stary Simmons. — Gdzie u licha ukryłeś się pan? A! na pokładzie, i w taką zimną noc? Chodź pan do nas, Wilson przegrał i będzie płacił przegranę — a graliśmy o szklaneczkę dla „*ale hauds*“ — więc i pan należysz do tego.

— Nie mogę, w istocie, nic pić Mr. Simmons, bo mam ból głowy.

— Niech kaci porwą pół głowy! — odparł rubasznie Simmons, wychodząc na pokład; — chodźże pan przynajmniej wypić szklankę limoniady, ale pić musisz na każdy sposób... — Z temi słowy pociągnął nieopierającego się już Graya, do oświetlonego bufetu.

— Dla mnie proszę brandy z cukrem, a pan co wypijesz? — pytał młodego Wirgińczyka.

— Kieliszek madery. — Wyszynkujący podał żądane napoje.

— Teraz, mój panie Wilson, możesz próbować rewanżu. Choć to gdyby nie chciwość, byłbyś i teraz wygrał. Masz naukę na przyszłość. Ale... ale, cóż pan pijesz, Mr. Smith, a pan Mr... — jakże brzmi godne nazwisko pańskie?

— Bloomfield... do usług Sir — podchwycił z galanterją Nowojorczyk. — Wypiję szklankę ponczu.

— A ja, kieliszek *gin cock tail* — dodał Smith.

— To mi wyborny napój! — cmoknął Simmons z zadowoleniem, wychylając resztę trunku z osiadłym na dnie szklanki cukrem. — A teraz do roboty, moi panowie, żeby znowu zapracować sobie na ugaszenie pragnienia. Usiedli do stolika, a Smith i Bloomfield podjęli znowu zaprzestanego na chwilę *poker'a*. Gray poszedł na dawne swoje miejsce na pokładzie.

W Natchez i z kilkoma pasażerami przybył na statek jakiś słuszny, silnie zbudowany młody człowiek w letnim surducie.

Nie przedstawiwszy się nikomu z towarzystwa, nie brał dotychczas żadnego udziału w ogólnej zabawie. Siadał na uboczu i przypatrywał się w milczeniu grze drugich; szczególnie zaś śledził *poker'a* między Nowojorczykiem a Smithem. Nagle powstał, przeszedł na pokład, i przystępując do Graya, dotknął go z lekka ręką. — Mr. Gray? — zagadnął go z uprzejmym uśmiechem.

— Co pan każe? — odparł machinalnie zapytany, budząc się z głębokiej zadumy.

— Mr. Gray... jeśli się nie mylę, to nazwisko pańskie? Spodziewam się, że wybaczysz pan śmiałość i natręctwo moje, gdy usłyszysz z czem przyszedłem do pana. Ledwie kilka godzin jestem na tym statku, nie radbym więc wszczynał spór... atoli nie mogę przenieść na sobie tego obojętnie, co widziałem, co jednak chciałbym poprzód zprawdzić... Ten blady jegomość, którego, zdaje mi się, Smithem nazywacie, gra fałszywie... i oszukał zapewne swego partnera, nie przeczuwającego wcale, z kim ma do czynienia, o znaczną sumkę dolarów...

— Wyznam panu, że ja domyślawałem się już czegoś podobnego... — mruknął Gray z cicha.

— Chodźmy obadwaj do kajuty i niznacznie przypatrzymy się grze... Gdy złowimy go na uczynku, postąpimy sobie potem odpowiednio...

— Umiesz pan grać w szachy?

— Trochę tylko.

— Wystarczy... Pod pozorem partji usiądziemy przy tym samym stoliku, albo z bliska, a on nie spodziewając się niczego, tem bardziej, że będzie nas sądził grą zajętych, nie zaprzestanie zapewne swej sztuki ohydnej...

Za chwilę siedzieli obadwaj przy szachownicy, i niby skupiając całą uwagę na pojedyncze poruszenia figur, w istocie śledzili bacznie—

o ile to możliwem było bez ściągnięcia na siebie podejrzenia — ręce Mr. Smitha, który siedział jeszcze bledszy, jak zwykle, cały snać oddany łotrowskiej spekulacji. Z pół godziny przypatrywali się na próżno, nie mogąc dostrzedz nic oczywidnego, choć z toku gry pewni byli, że Smith gra fałszywie. W końcu Mr. Bloomfield odezwał się:

— Nie, już nie gram więcej... wczoraj przegrałem czterdzieści, dziś już pięćdziesiąt kilka dolarów. Nieszczęście prześladuje mnie widocznie, bo ilekroć dostanę trzy asy lub króle, pan masz z pewnością cztery dyski lub walety.

— Pograjmy jeszcze z pół godzinki... — przerwał Smith uspokajając go. — Może też przecie raz fortuna uśmiechnie się panu, bo rzeczywiście grałem dziś niesłychannie szczęśliwie.

Zmięszał karty i rozdał. Teraz dopiero spostrzegł Gray, że Smith miasto przepisanych pięciu kart, dał sobie siedm, a te dwie, które wybrał jako najgorsze, zrzucił zręcznie pod stół, na kolana.

Bloomfield miał w ręce cztery damy i asa, postawił więc dolara, Smith postawił przeciwnie dwa dolary. Na to Bloomfield rzucił na stół banknot dziesięciodolarowy, Smith zaś podwoił stawkę. Na koniec Bloomfield dołożył tyle, ile brakowało do równej u obudwu stawki, i odkrył karty. Smith wygrał, bo miał cztery króle i waleta.'

— Otóż widzisz pan, nie jestże to oczywista sekatura losu! — zawołał zgniewany Bloomfield. — Nie gram dziś więcej pod żadnym warunkiem! — I gdy chciał powstać od stołu, a Smith spokojnie wyciągnął rękę po pieniądze, Gray, który z bijącem sercem śledził całą grę, przyskoczył do stołu, i kładąc rękę na banknoty, zawołał podniesionym od wzruszenia głosem:

— Panie — pan grałeś fałszywie!...

Trupia bladość pokryła oblicze zchwyconego szulera; z wściekłości usta mu drgały kurczowo, a tłumiony gniew tamował głos w gardle.

— Kłamco!... — zawołał charcząc — jak śmiesz pan... — Ale nie dokończył, bo w tej chwili Gray powalił go na ziemię silnem uderzeniem pięści. Gdy padał, ukrywane na kolanach karty, posypały się na podłogę. W mgnieniu oka zerwał się jednak przytomny łotr na nogi, i wyciągnąwszy szybko krucicę z kieszeni, wypalił ją do Graya, zanim ten zdołał zmiarkować grożące mu niebezpieczeństwo. Strzał, nie wymierzony dobrze skutkiem pospiechu, chybił. Gray zaś zabierał się rzucić nań powtórnie. Atoli młody nieznajomy w letnim surducie pochwycił go w pół, i odciągając od przerażonego urwisa, zawołał:

— Powstrzymaj się Mr. Gray... nie walaj sobie rąk tym łotrem... puść go, bo i tak rusztowanie nie minie go w przyszłości...

— Niechże przynajmniej odda Bloomfieldowi ukradzione mu haniebnie pieniądze! — rzekł Gray poskramiając się w uniesieniu, którego się widocznie wstydzić poczynał.

— Niechże je sobie zatrzyma i niech go djabli żywcem porwą! — wtrącił wspaniałomyślnie Bloomfield. — Wykpił odemnie tych kiepskich kilka dolarów, za które jednak kupiłem sobie dobrą nauczkę — a i ta coś warta, moi panowie. Doświadczenia człek nigdy nie przepłaca. Puśćcie go, ta hańba powinna mu być dostateczną karą. Za wszystkie skarby Wielkiego Mongoła nie chciałbym być w tej chwili w jego skórze.

— Pięknie mówisz, Mr. Bloomfield, bardzo pięknie. A teraz, *boys*, wypijmy szklankę, — zawołał Simmons, wyczekujący z swoimi partnerami końca awantury. — Napijmy się, i niech przeklęty będzie ten urwis... Irytacja mogłaby nam zaszkodzić, jeśli jej nie zpłuczemy. I tak, ja przegrałem tym razem. Dla mnie brandy z cukrem... — kończył zwracając się do szynkarza, a wszyscy poszli za jego przykładem, nie zważając więcej na fałszerza, który w milczeniu i z tajoną złością oddalił się niezwłocznie z kajuty. Reszta nocy przeszła spokojnie i jak to się często praktykowało, szalupa kilka razy lądowała z pasażerami. (C. d. n.)

Listy z Wenecji.

Wenecja — Czerwiec 1876.

Gdy przez parę zimowych miesięcy, bandytyzm w Sycylji ustał był prawie, sądzono że przy nowych energicznych środkach, jakie przedsięwzięto, i po zabiciu kilku przywódców, co miało miejsce w jesieni, rozproszone bandy malandrinów, nie tak się prędko zorganizują na nowo. Niedługo jednak trwało złudzenie, bo z wiosną, rzuciwszy swoje zimowe leże, bandyci, z dawną swobodą plądrować po kraju zaczęli. — Pierwszym, co wyszedł ze swego ukrycia i stanął na czele swej bandy, był Giuseppe Nobile, „Józef szlachetny", o którym twierdzą miejscowi mieszkańcy, że zasługuje na nazwę szlachetnego, bo od początku przedsięwziętego zawodu, kradzieżą i łupiestwem nie splamił swego imienia, a tylko rozbija dla samej przyjemności krwi rozlewu. W marcu już Giuseppe Nobile, na czele kilkunastu, na dzielnych koniach i dobrze uzbrojonych bandytów, napadł na oddział żołnierzy w Tagliavia, gdzie po zamianie obopólnych strzałów, cofnąć się był zmuszonym. Wieczorem, dnia tegoż samego, napadł w Molino Mirto, na stojącą tam załogę Bersaljerów, którzy atak odparli, lecz dowodzący nimi Gherardi zginął w tej utarczce.

W ślad za tem, jak by na dane hasło, w San Mauro Castelverde, Angelo Rinaldi próbował z swą bandą wedrzeć się do koszar karabinierów, by wyciąć całą ich załogę. Gdy w kilka dni po tym napadzie, w San Mauro aresztowano kilku podejrzanych o współudział, a między nimi jednego w rzeczy samej należącego do bandy, bandyci mając podejrzenie, że ich towarzysza wydał Angelo Pepe, postanowili go zgładzić. W dni parę Angelo Pepe, zamordowanym został w pobliżu San Mauro, a bandyci nie poprzestając jeszcze na tej vendecie, wpadli śród dnia białego do jego domu, gdzie zastrzelili jego matkę, sześćdziesięcioletnią staruszkę, wraz z jego siostrą. Za głowę Rinaldiego naznaczono już od lat kilku 25.000 franków nagrody, lecz nikt nie ma odwagi wydania go, bojąc się vendetty. Vendetta tam jest straszną, i często takowa na całą spada rodzinę; dla tego bandyci, mimo siły zbrojnej wojskowej, która ich ściga, nie chcąc ustąpić, najspokojniej po wsiach się przechowują, pewni że wydanymi przez mieszkańców nie będą. W jesieni gdy jeden „il capo-banda" zabitym został, nikt się do czynu tego przyznać nie odważył, mimo nagrody 30.000 franków, przez rząd naznaczonej. Tam gdzie charakter ludu jest tak gwałtownym, vendetta jest rzeczą naturalną, której się nikt nie dziwi, a którą najmniejsza nawet uraza wywołać jest zdolną. Nie dalej jak przed miesiącem, do domu dwojga staruszków w Giuliano, wszedł młody wieśniak, i po serdecznym ich przywitaniu, chwyciwszy staruszkę za włosy, nóż po rękojeść wbił w jej piersi; gdy starzec chciał ją ratować, kulą z rewolweru przeszył go, a drogą jeszcze zgruchotał ramię już konającej. Po dokonanym czynie wyszedł spokojnie, dwa trupy zostawiając w chacie. Była to tylko vendetta, za zdanie niekorzystne, jakie staruszka udzieliła o nim swej wnuczce. Przy takich zwykle wypadkach, choć nieraz tłum ludzi jest świadkiem zbrodni, nikt świadczyć się nie odważa, lub podać zbrodniarza nazwisko. To też śród pięknych gór Sycylji, w każdej prowincji spotykasz bandy, których przewódcy ogólnie są znani. — Capraro, w prowincji Trapani, postrach dziś sieje dokoła. Niedawno w komunie Gibellina, kilku z jego bandy, strojnie odzianych, na dzielnych rumakach przybywszy do sioła, gdy nikt im stawić nie śmiał oporu, wybrali najpiękniejszych kilka sztuk bydła i uprowadziwszy je z sobą, w pobliżu wsi stanęli, jak by w oczekiwaniu umówionego spotkania. Znać dobrze o wszystkiem poinformowani, bo w rzeczy samej wkrótce nadjechali tam dwaj bracia De Lorenzo, młodzi i bogaci wsi właściciele, których na miejscu zamordowano, i zabrawszy broń tylko palną u zabitych, w dalszą się podróż puścili. Straszne to morderstwo przypisują tylko vendecie. — W dni kilka później, taż sama banda, napadła na komunę Cammarata, w pobliżu Girgenti, gdzie zrabowawszy co tylko mogła, w powrocie swym przez terytorjum Trapani, schwytała bogatego właściciela z Campobello i porwała go z sobą, dając znać rodzinie schwytanego, by jej przysłano „il ricatto" wykup, w ilości 10ciu tysięcy „onze in oro" co wynosi 127.000 franków, w przeciwnym razie jeniec zabitym będzie. Bandyci pieszo go wlekli za sobą przez lasy i góry, trwożąc go ciągle, że gdy wykupu nie przyszlą, zamordowanym zostanie. Przez noce całe, odbywać musiał z nimi miłe po skałach spacery, a w dzień najczęściej śród jakiejś groty odpoczywając, dawali mu kęs chleba i wodę na posiłek. Tak podróżował dni dwadzieścia sześć, w przeciągu których trwały traktacje o wykupną sumę. Po długich wreście układach zgodzono się na 50.000 franków, i po zawartej ugodzie, przyprowadzono go do Chiusa, o sto kilkadziesiąt kilometrów od miejsca w którem był schwytanym. Bandyci zamknąwszy go tam w chacie, zostawili dwóch ze swego oddziału na straży, a sami udali się na spotkanie oczekiwanego posłańca, mającego przybyć z okupem. Pozostawieni strażnicy, zapowiedzieli więźniowi, że w tem zamknięciu 24 godzin pozostanie. Pozostawiony w ciemnej kryjówce w podziemiu tej chaty, gdzie nic prócz garści słomy nie zastał, czując brak powietrza do oddychania, uprosił strażników, by mu drzwi tego więzienia otwarto, gdy go przy życiu chcą jeszcze przez tych 24 godzin zachować. Strażnicy zrobili to ustępstwo lecz gdy usnęli, więzień korzystając ze sposobności zdołał im uciec, a znając miejscowość udał się wprost do koszar wojskowej załogi będącej w pobliżu, gdzie wszelką znalazł pomoc. Oddział żołnierzy wysłanym został natychmiast na miejsce gdzie był więzionym, lecz w chacie nikogo już nie znaleziono, bo straż i jej mieszkańce już byli uciekli. — Poszukiwania rozpoczęto, lecz te jak zwykle tam bywa, bezskutecznemi pewnie zostaną. Tymczasem w parlamencie radzą o koniecznej potrzebie przeprowadzenia tam żelaznych kolei, co by wpłynęło korzystnie i ułatwiło znacznie wykorzenienia złego, lecz już miejscowość sama olbrzymie temu stawi przeszkody; śród skał i jarów, gdzie często tylko podróżni konno przejeżdżać muszą, bo dla pojazdu droga jest niemożebną, ileż by kosztów trzeba ponieść dla przeprowadzenia tam kolei żelaznych, tem bardziej gdy kasa państwa nie jest w kwitnącym stanie. Bogaci nie wydalają się z miast większych, pozostawiając swe dobra na łasce rządców lub dzierżawców. Podróżujący każdy brać musi wojskową eskortę, lecz i to często nie ocali życia. Chcąc mieć swobodę przejazdu, układać się muszą z band naczelnikami i płacą im corocznie umówioną opłatę „Camponenda" zwaną. Niedawno syndykowi z Coltavuturo za niezapłacenie w termin umówiony, rocznej opłaty, il capo-banda Leone kazał zastrzelić 37 sztuk najpiękniejszego bydła.

W tym roku zwiększyła się liczba band i nadużyć jakich się dopuszczają bandyci; wojsko i policja nie jest w możności sama złemu zaradzić, gdy mieszkańce z obawy o własne życie, nie śmieją nieść pomocy i opłacają bandytom podatki. Nowe ministerstwo winę tego przypisuje swym poprzednikom, którzy nawzajem obwiniają swych następców, że dotąd nic nie zrobili. Winę składają jedni na drugich, a stan obecny Sycylji jest tymczasem opłakanym, pod względem bezpieczeństwa jej mieszkańców.

Edmund L....

---

*

Myśli o najnowszym kierunku w historji

przez

Bolesława Czerwieńskiego.

(Ciąg dalszy.)

II.

Teorja Darwina niszcząca system antropocentryczny, nadała zupełnie nowy zwrot nauce historji, a właściwie mówiąc historjozofji. Człowiek podług materjalistów jest tylko cząstką natury, czego według nich dowodzi jego budowa fizyczna i wpływy zewnętrzne czysto materjalnej istoty, wywierające na nim niezatarte znamiona; człowiek jest tak samo produktem przyrody, jak minerał, roślina, lub zwierzę posiada tylko organizm bardziej skomplikowany i lepiej utworzony, zdolny do wytwarzania myśli. To mu nadaje pierwszeństwo na ziemi. Wpływy zewnętrzne i wewnętrzny mechanizm, popychają go w tym lub owym kierunku, każą mu czynić to lub owo. Jest on cząstką natury i jako taką, natura owa nim kieruje. Czemże więc będzie jego działalność? Wypływem sił przyrodzonych. Czem będzie historja rodzaju ludzkiego? Oto przedstawieniem owych sił naturalnych, jak one na człowieka podczas wieków działały i skutków, jakie wywierały. Poznać istotę, kierunki i wypadkową owych sił: oto historja cywilizacji ludzkiej na podstawie teorji materjalistów. Siłami według nich, tworzącemi historję ludzką są: 1o wewnętrzna siła życiowa człowieka, która za pomocą zewnętrznych organów odbierających wrażenia od świata zewnętrznego działając na tkankę mózgową, wytwarza myśl, 2o wpływy zewnętrzne jako to: klimat, pożywienie i w ogóle wszystkie warunki zewnętrzne wypływające z geograficznego położenia zamieszkiwanej miejscowości i 3o wrodzony instynkt zachowawczy objawiający się na zewnątrz w oryginalnie przez Darwina pomyślanej walce o byt (struggle of life), będący wynikiem siły pierwszej wszystko zaś to jest bezpośrednim lub pośrednim wynikiem naturalnych sił zewnętrznych natury. Historycy starej daty, u których historja była tylko, jak się wyraża Słowacki kalendarzem zapełnionym imionami królów i datami, uznali, że dotychczasowe traktowanie historji nie wystarcza obecnie dla społeczeństwa, że ludzkością w jej dziejowym pochodzie nie kierował przypadek i sporadycznie objawiająca się jakaś wyższa wola, ale pewne niezmienne prawa, które wykryć należy. Historycy-idealiści przymuszeni zostali mimowoli przyjąć metodę traktowania przedmiotu wprowadzoną przez materjalistów i uczynić nawet niektóre ustępstwa na korzyść tych ostatnich. Nikt nie zaprzeczy, że człowiek jako istota cielesna, musi podlegać wpływom materjalnym; wpływy te materjalne związane są ściśle z czynnościami duchowemi człowieka, których przejawy w czasie tworzą historję. I tak np. mieszkańcy strefy podzwrotnikowej, posiadającej świetną i olbrzymią faunę i florę muszą być skłonni do fantastyczności, do której ich otaczająca przyroda usposabia; łatwość dostania pożywienia i możność obycia się z powodu gorącego klimatu, potrawami roślinnemi, a nawet samymi tylko surowymi owocami, usposabia te narody do lenistwa i czyni je apatycznymi, w skutek czego w krajach owych możliwym jest potworny despotyzm. Wiekopomnym monumentem takiego despotyzmu, są np. olbrzymie budowy starożytnego Egiptu, których w narodzie wolnym w czasach, gdy mechanika stała na stosunkowo niskim stopniu rozwoju, dokonać byłoby niepodobieństwem. Któż zaprzeczy temu rozumowaniu słuszności i może wobec faktów twierdzić, że klimat nie wywiera żadnego, albo tylko małoznaczny wpływ na ludność? Weźmy inny przykład. Położenie geograficzne Grecji leżącej niejako pośrodku trzech lądów: Europy, której jest cyplem południowym, Afryki i Azji czyniło ją przystępną przystanią trzech prądów cywilizacyjnych, płynących z północy, południa i wschodu, jej koronkowa konfiguracja wybrzeży, bogatych w porty i zatoki usposobiała ludność do żeglugi, a tem samem budziła w niej ducha przedsiębiorczości, odwagi, przytomności umysłu i bystrego pojmowania położenia, nieurodzajny grunt zniewalał do pracy, a urocze niebo szafirowe i rozmaita a piękna natura kształciła pojęcie piękna. I jakże w tym kraju nie miał mieszkać naród będący dotychczas ideałem ludzkości? Podobnych uderzających przykładów wpływu natury na narody moglibyśmy podać tyle, ile jest plemion na ziemi. Fakta te są już powszechnie uznane.

Zachodzi wszakże pytanie, czy owe wpływy zewnętrzne są jedynymi tworzącymi historję, jak chcą materjaliści, w czem postępują z właściwą sobie konsekwencją, czy też są one pobocznym czynnikiem w dziejach, jak utrzymują ich przeciwnicy? — Ci formułują swe zapatrywania w ten sposób: Stara jak świat a każdemu nawet dziecku znana teza, że człowiek składa się z dwóch pierwiastków: duchowego i cielesnego znachodzi zupełne zastosowanie w historji cywilizacji ludzkiej. Człowiek jest związany cieleśnie z naturą i bez zaprzeczenia podlega różnorodnym jej wpływom, ale posiada zarazem wolną wolę, której one nie niweczą, tylko ją krępują. Kwestja wolnej woli człowieka, a tem samem ludzkości, jako zbiorowiska ludzkich indywidów będzie poniżej tematem naszych roztrząsań. Widzimy z tego, że głównem zadaniem nowoczesnych historyków jest wyjaśnienie stosunku między człowiekiem a naturą.

Zanim przejdziemy do rozważania kilku pytań historjozoficznych, uważamy za stosowne wymienić i w krótkości ocenić niektóre z najważniejszych dzieł traktujących o zajmującym nas przedmiocie, których ukazanie się w ostatnich czasach stanowić będzie ważną epokę w historjografji. Dzieł tych jest pięć: „Historja cywilizacji Anglji“ Buckle'a, „Dzieje umysłowego rozwoju Europy“ J. W. Drapera, profesora chemji i fizjologji w uniwersytecie w Nowym Jorku, „Historja cywilizacji“ (Culturgeschichte) Fredyryka Hellwalda, profesora w Canstatt, „Narodoznawstwo“ (Völkerskunde) Oskara Peschla, słynnego etnografa, profesora geografji na uniwersytecie lipskim, zmarłego w tym roku, i nakoniec „Stworzenie“ (La création) także niedawno zmarłego francuskiego filozofa i poety Edgara Quinet'a.

Buckle miał zamiar napisać całokształt dziejów cywilizacji ludzkiej i w tym celu przez długie lata czynił studja i odbywał podróże. Obdarzony olbrzymią pamięcią a przytem nadzwyczaj pilny zgromadził kolosalne materjały nie długo jednak przed śmiercią, która nastąpiła podczas jego podróży po Wchodzie, przekonał się, że nie zdoła dokonać swego dzieła i zamiast zamierzonej ogólnej historji ludzkości napisał tylko historję cywilizacji Anglji, której i tak do końca nie doprowadził. We wstępnych jednak rozdziałach daje pogląd na ogólną historję cywilizacji w kierunku czysto materjalistycznym. Główną jego dążnością jest zaprzeczyć wolnej woli z społeczeństwach ludzkich, czego dowodzi w rozległą eurdycją za pomocą wszystkich nauk, szczególnie zaś historji naturalnej i statystyki. Z jego rozumowania wyprowadza się wniossek, że człowiek podlega nawet w najdrobniejszych swoich czynnościach nieubłaganym, niezmiennym prawom że więc historji nie wytworzyli ludzie, ale że byli oni i są tylko ślepem narzędziem sił naturalnych. Tak samo zapatruje się na dzieje Draper, autor „Historji umysłowego rozwoju Europy,“ którego oryginalną myślą jest to, że za prototyp narodów i ludzkości uważa ludzkie indywiduum. Tak jak indywiduum, powiada Draper, jest wytworem natury i działa tylko w kierunkach nadanych mu przez siły fizyczne, tak samo narody i ludzkość; tak jak indywiduum rozwija się od chwili, gdy jest embrjonem, nabiera sił, dosięga nareszcie punktu kulminacyjnego swego rozwoju, ażeby tracić je powoli, a nakoniec umrzeć i przetworzyć się w inne ciało, tak samo i społeczeństwa. Udowodnieniu tego założenia poświęca Draper, obszerne swoje z wielkim talentem i nauką napisane dzieło.

(C. d. n.)

Pogadanki.

XXIX.

Lwowski *Paternoster-Street* kwitnie, jak nie kwitł nigdy — ale na co kochanemu czytelnikowi przyda się ta wiadomość? Zawiera ona w sobie rzeczy olbrzymiej doniosłości, brzemienna jest całą przyszłością naszą, wykazuje, w jakim kierunku porusza się duch narodu — ale przedewszystkiem potrzeba widzić, że Paternoster-Row nazywa się w śródmieściu londyńskiem (od zachodniej strony) ulica zajęta przez samych księgarzy. We Lwowie, maleńkiem jej wyobrażeniem jest przesmyk od Wydziału krajowego do Banku hipotecznego, wzdłuż którego przesiaduje p. Richter i przypatruje się pp. Bartoszewiczowi, Bełzie, i Zawadzkiemu, a oni jemu. Owoż tedy, cztery te handle, przypatrując się sobie nawzajem, poczęły temi dniami dziwić się jeden drugiemu, zdziwieniem — ogromnem, szeroko-okiem, jakby się w takim wypadku wyraził pierwszy lepszy poeta. Ni ztąd ni z owąd, ustał zwykły ruch, podżegany kolosalną tutejszokrajową konsumcją produkcyj umysłowych. Przez cały tydzień nikt nie zażądał ani „Sennika Egipskiego“, ani „Wyjaśnienia Litanii Loretańskiej w 31 odczytach“, ani „Zbioru Listów i Powinszowań na Nowy Rok, Imieniny, lub Urodziny itp.“ — a natomiast co dwadzieścia i cztery godziny wpadał zaperzony jakiś obywatel, w twarzy swojej niosący jak najwidoczniejsze ślady wewnętrznego wzburzenia, i domagał się najnowszej, najdokładniejszej mapy Serbii i całej otaczającej ją Słowiańszczyzny, nie wyjmując Zarwanicy, Krakowskiego, Białej, ani Brodów. Nastarczyć tak wielkiemu popytowi było niepodobnem, mapy rysowane w rozmiarach mniejszych od centymetra na kilometr, nie wystarczały strategicznemu i taktycznemu rozpędowi narodu, każdy chciał w przybliżeniu przynajmniej do naturalnej wielkości, wyznaczyć na papierze miejsce na którem leżą i czekają rozszarpania przez kruki owe krocie Turków, zabite jednym wystrzałem z gwintowanej, odtylcowej — idei wszechnadreńsko-słowiańskiej. Justus Perthes, Artaria, Kiepert, i wszyscy inni koszerno-teutońscy fabrykanci kraj-

obrazów tego rodzaju, nie mogli dotychczas uczynić zadość wymaganiom, i krążąc po ulicach naszego miasta, spotyka się ludzi zrozpaczonych z powodu, iż nie przekonali się naocznie, że tam, gdzie Holofernesa tureckiego uśmierciła nadobna sielankowym wdziękiem i nieskażona wielkomiejskiemi perfumami Judyta kirylicka, tam powierzchnia ziemi w jeografji gimnazjalnej nie jest znaczona kropkami i fatalnym znakiem:? ale w istocie składa się z kamieni, gliny, piasku i czarnoziemu, lub innych rzeczy koniecznie potrzebnych na to, ażeby Holofernes padając nie przeleciał na wskróś kuli ziemskiej, i nie dostał się na jaką planetę wolną od dyplomatów, od podatku czynszowego, od kwestji „ruskiej,“ od zgromadzeń wyborczych, od kagańców na psy, i od — kobiet. Ogromne to podniecenie spokojnego zazwyczaj i wzorowo-obojętnego narodu, było dziełem jednej pieśni, ale pieśń ta była drukowaną w najdroższem i najgorzej ilustrowanem u wszystkich pism tygodniowych, które co niedzieli zasmucają Europę. Nakład rozchwycono tak, że zaledwie w cukierni zdołałem podchwycić parę zwrotek światozbawczego hymnu, o którym mówię, i to przez grzeczność siedzącego tuż obok mnie jegomości, co raczył odczytać mi je głośno z egzemplarza, będącego przez 3 sekundy w jego posiadaniu. Nie dowierzam mojej pamięci, i gotów jestem umieścić w przyszłej „Pogadance“ wszelkie możliwe sprostowania, ale zdaje mi się, że owa pieśń nad pieśniami opiewała tak:

Ura-ho, ura-ho, ura!
Wyrwał się *Sz...tek* i biega....
A za nim tuż pauprów chmura,
I krzyk się w koło rozlega:
Ura-ho, ura-ho, ura!
Bałkan — strach, jaka to góra!

Ura-ho, ura-ho, ura!
Bałkan goreje łunami;
Wino tam kwaśne, jak lura,
Lecz wieprze karmią bukwiami!
Więc ura! dalej — do czynu,
Za ocet i wieprzowinu!

Ura-ho, ura-ho, ura!
Kulparków źle był strzeżony;
Warjaty rymu i pióra
Zbiegły i plotą androny:
Ura-ho, ura-ho, ura!
Niech mądry z nami co wskóra!

Ura-ho, ura-ho, ura!
Car piękne przysłał bumażki —
Z nas przytem nikt nie wskóra,
W kąt d..ne idą wciąż Laszki:
Lecz — ura! Car wzywa do czynu:
Za ocet i wieprzowinu!

Zaręczam, że jeżeli nie powtórzyłem dość wiernie wszystkich piękności tego porywającego duszę hymnu, to jedyną tego przyczyną było rozrzewnienie, jakie mię opanowało zaraz po usłyszeniu pierwszych kilku akordów. Ach, i pewny jestem, że ktokolwiek słowiańską duszę mógł ocalić z pośród widoku naszych pogorzelisk z r. 1863, naszej krwi, wówczas przelanej, naszych kobiet i dzieci, bez litości mordowanych—w kim jeszcze serce drga na nutę: Boże carja chrani! po powrocie z Akatuji, albo z cytadeli warszawskiej, ten rozrzewni się wraz ze mną, i myśl jego z sokołami Czernajewa i Stratymirowicza poleci tam, kędy rozgalopował się Pegaz *Szczutka*.

„Ura-ho, ura-ho, ura!
Bałkan goreje łunami,
I Ałłah patrzy z wysoka:
Do walki z Moskwy sługami,
Wzywa chorągiew Proroka!
Precz mi z greckiemi krzyżami,
Precz z wiarą w batiuszkę-cara!
Półksiężyc błyszczy nad nami,
Gdzie nie ma Polski, krzyż — mara!
Lecz kogo z murów Kremlinu
Zbyt wabi knut i tortura,
Niech krzyczy: „ura-ho, ura!
„Za *wieru i otcowinu!*“
Wszak gdy nas kiedyś łupiono
Z dawnej potęgi łachmanów,
To jeden naówczas pono
Wniósł protest — cesarz Osmanów;
A kiedy carów dłoń sroga
Na braci kuła kajdany,
Dla wiary w „Jednego Boga“
Chroniły ich — Bisurmany.
Więc ura-ho, ura-ho, ura!
Górą zielone sztandary —
Skoro nam ojciec był wiernym,
Synowi — nie złamiem wiary!
I choć to wszech mużykowskie
Draśnie uczucie czyje,
Wołamy z całego serca:
Niech Murad-piąty nam żyje!“ *)

A to doprawdy, szczególna mowa: i tak się składa, i tak się składa, a zawsze do rymu. Jeden poeta za Serbami, drugi za Turkami, a jeden i drugi trzyma się rytmu i kadencji. Ja zaś przepisuję to wszystko, daję do druku, i dziwię się obłokom, że im się nie sprzykrzy zsyłać na nas wieszczów z każdym deszczem. Ba — wieszcz, i deszcz, to znowu rym; dajmy lepiej pokój tej materji, bo nie dojdziemy nigdy do niewiązanej mowy.

* * *

Dyrekcje teatrów naszych mniej dbają o to, czy kto przemawia wiązaną lub niewiązaną mową, ale za to lubią ogromnie obowiązujące umowy. Niektórzy artyści mają w tej mierze gust zupełnie odmienny. Na scenie poddają się jeszcze kaprysom librecisty i kompozytora, ale w prozie życia trzymają się stanowczo zasady, że każdemu wolno robić co mu się podoba z jakimkolwiek kontraktem, chociażby najdokładniej spisanym. Z tąd, od czasu do czasu, po za kulisami daje się słyszeć nader nie-bachowska, niemuzykalna *fuga*. Naród wierzący w to, że jego piewcy są pół-bogami, truchleje na ówczas z przestrachu, gubi się w domysłach, kto też na przyszłość wytłumaczy „Racheli,“ co zrobił „Pan, w dobroci niepojętej.“ W takich chwilach popłochu instytucje mniej powszechnie lubione, i na wszelki wypadek mniej estetyczne od drużyny Apollina, jako to: sądy, policja i t. d. okazują się pożyteczniejszemi dla artystycznych interesów ogółu, aniżeliby kto przypuszczał. Szkoda tylko, że sposób, w jaki objawia się ta pożyteczność, jest tak prozaicznym. Muzy wyparłyby się go z oburzeniem, i gdyby kto opowiedział na Parnasie, jakich środków używać muszą śmiertelnicy, jeżeli chcą słyszeć Eleazara, Ernaniego, Fausta, Gennara i t. p. — to wszystkie panienki tamtejsze, jak ich jest dziewięć, przytknęłyby do nosa flakoniki z perfumami i zemdlałyby, wołając: *Ach! schoking!*

Ażeby nie dotknąć tą aluzją zbyt bliskich nas przedmiotów, wspomnę tutaj tylko, że co jest koniecznem na Parnasie, tj. na szczycie produkcji i egzekucji piękna, to bywa także nieuniknionem i w leżącej u stóp tej góry, kotlinie dziennikarskiej. Był pan v. Wallsee, który w *Nowej Pressie* bił Serbów, i pan Herz Feigel, który w *Tagblacie* po 5 centów od wiersza mordował Turków bez miłosierdzia. Naraz, przez trzy dni, nie padł ani jeden Serb, ani jeden Turek. Więc *Nowa Presse* w lament: zginął nasz p. Walsee, padł ofiarą swojego obowiązku jako korespondent, kula serbska ugodziła go w sam kałamarz, i wycisnęła z niego ostatnią kroplę atramentu! A *Tagblatt* sobie: Aj waj, mojemu i Szczutkowego korespondentem zabili poligamiści w dolinie Timoku na śmierć! Aż tu naraz, w Zemuniu pojawia się p. v. Wallsee i p. Feigel w jednej i tej samej osobie, odstawiony pięknie, ochędóżnie i bezpiecznie aż do samej granicy — szupasem.

O policjo! Ty jesteś tą arką przymierza, w którą lud może bezpiecznie złożyć „swych uczuć przędzę, i swych marzeń kwiaty.“ Arko! Ja ciebie szanuję i omijam, ale — szanujmy się i omijajmy nawzajem!

Jan Lam.

*) Redakcja „Tygodnia“ postanowiwszy w kwestjach spornych umieszczać tylko takie artykuły, pod któremi autorowie są podpisani, zostawia im tem samem wolność zdania, choć nie raz nie solidaryzuje się z ich poglądami i konkluzjami. (Przyp. Red.)

Wystawa sztuk pięknych w Paryżu
w roku 1876.

(Ciąg dalszy).

Drugą dającą się podkreślić cechą tegorocznej wystawy jest może pewien zwrot, ku tak zwanemu „malarstwu religijnemu.“ Chrystusów zmarłych, obrazów świętych, ilustrowanych kart Biblji starego i nowego testamentu, więcej na niej, niźli na kilku poprzednich razem wziętych. Na pierwszy rzut oka, nie bylibyśmy od tego. Malarstwo religijne to niwa, na której tylu wielkich mistrzów obfite zebrało plony tyle wysoce natchnionych stworzyło arcydzieł. Ale po dłuższej rozwadze, rzecz przedstawia się nam inaczej. Natchnienie! W tem sęk właśnie, że natchnienie nie przybywa na zawołanie, że ono podlega i podlegać musi wpływom epoki, w której żyjemy, społeczności, która nas otacza. By stworzyć prawdziwie piękny obraz religijny, potrzeba żyć w pewnej atmosferze wiary a ufności, na jakiej zbywa społeczności naszej rozmiłowanej w analizach. Ztąd obrazy religijne dzisiaj malowane będą mniej lub więcej udatnemi studjami ciał nagich albo w starożytne uwiniętych togi, ale nie będą nigdy tem, czem były dawniej, skrystalonym wyrazem potrzeb duchowych wieku, i wzbudzą w nas wszystko, prócz zachwytu i uszanowania. Są żelazne konieczności czasu, z pod których sztuka wyłamać się nie zdoła. Ostatnich lat sto, lub dwieście, wywróciło wiele rzeczy, żyjemy w epoce przechodowej, prób, poszukiwań, niepewności. Coś się ma narodzić, to zdaje się być rzeczą widoczną, ale co, nie wiadomo. Sztuka takiemu stanowi rzeczy odpowiadać musi i odpowiada. I ona szuka także. Niespokojna, to pomknie naprzód, to wstecz się cofnąć pragnie. Bawi się w eklektyzm. Eklektyzm ten widoczny wszędzie: w architekturze nowo budujących się gmachów, w umeblowaniu mieszkań, nawet w strojach kobiecych. Widać w nich zbieraninę różnych czasów, mniej lub więcej odległej przeszłości, Gotycyzm, Renaissance, Wieki Ludwików XIV, XV i XVI, Dyrektorjat, pierwsze cesarstwo, widać w nich to wszystko z różnemi rozumie się mniej lub więcej szczęśliwemi dodatkami, ale nie widać nic lub prawie nic absolutnie nowego, nic absolutnie osobistego, nic, coby współczesnej nam epoki wybitne nosiło znamiona. Ten więc zauważany pseudo zwrot ku malarstwu religijnemu, nie jest według nas niczem więcej, jak jeszcze jednym onego eklektyzmu objawem. Kilkunastu malarzy próbuje, czy w tej stronie nie odkryją nowego natchnień źródła. Daremnie! źródło to wyschło pod podmuchem roztrząsań wiedzy, i usiłowania ich odkrywają tylko miejsce, gdzie ongi tryskał zdrój świeży, a które się dziś w smutną i pustą zmieniło kotłowinę. Podobnem zjawiskiem, choć

w innej sferze pojęć, był przeszłej i zaprzeszłej zimy pewien tu rodzaj mody chodzenia do Teatru francuskiego na odświeżone przedstawienia zaniedbanych przez dość długi przeciąg czasu Corneille'owskich i Racine'owskich tragedyj. Widząc jak elegancka publiczność przepełnia loże teatralne w dni onych przedstawień, mógłby kto posądzić ją o wyparcie się romantyzmu, o zwrot ku klasycyzmowi. Jakżeby się mylił straszliwie! Publiczność chce dramatu, istnego współczesnego dramatu. Dramatu takiego w pełnem znaczeniu tego słowa, nie daje jej żyjące pokolenie. Bawi się więc także w eklektyzm. Szuka po za sobą czego nie zgubiła. Galwanizuje kościotrupów, myśląc że pojmie dawne ich uczucia, że dawnem ich życiem odżyć potrafi. Daremnie i jeszcze raz daremnie! Fenomenów podobnych, a z jednej i tejże samej wypływających przyczyny, wytknąć by można więcej. Ponieważ oddaliłoby to nas zbytecznie od podjętego zadania, od skoropisu tegorocznej wystawy, wróćmy więc do niej i popatrzmy, czy nic już w niej więcej na podobnie ogólnikowe nie zasługuje spostrzeżenia?

Niesłusznem byłoby zamilczeć o szeroko na niej praktykowanej gościnności dla artystów ościennych plemion obcej narodowości. Język to uniwersalny, to mowa barw a kształtów, i kto nim przemawia szczęśliwy, z krańca bowiem w kraniec świata nie potrzebuje szukać tłumacza. Malarze korzystając z tego przywileju, nawet ci, którzy tak odległe zamieszkują strony, jak południową Amerykę, lub nawet Oceanję. produkcje swego talentu posyłają do Paryża, gdzie się takowe nie poskarżą na brak gościnności. W katalogu wystawy co dwa, trzy nazwiska spotyka się prawie jedno, uderzające egzotyczną końcówką. Dużo jednak wody upłynie do morza, zanim te odległe i wczoraj zaledwie do cywilizacji zbudzone kraje, na samoistną zdobędą się sztukę. Ameryka naprzykład, bogactwo, przemysł i handel do wysokiego posuwająca rozkwitu, pod względem artystycznym kuleje absolutnie, i przepłacając obcych artystów, sama nie może wydać ani jednego pierwszorzędnego mistrza. Możnaby powiedzieć, że sztuka jest ostatecznem pomazaniem na narodowość, i że kraje, które się na nią nie zdobyły, nie są w prawie pretendować do tego wysokiego tytułu; nie zasługują tylko na nazwisko hord barbarzyńskich lub handlowych zespoleń. Z drugiej jednak strony, kulminacyjny punkt rozwoju sztuk pięknych w tym lub owym kraju niekoniecznie idzie w parze z rozwojem politycznej jego potęgi, szczęścia i spokoju; możnaby nawet zauważyć, że nader często we wstecznym ku niemu stoi stosunku. Niewiedząc zatem czego życzyć tym młodszym braciom w cywilizacji, czy prędszej duchowej, artystycznej kultury, czy dłuższego wzmagania się w siły materjalne, ich własnemu zostawimy to wyborowi.

Sztuka polska na tegorocznej wystawie odznacza się bardziej liczbą reprezentujących ją artystów, niźli jakością przysłanych przez nich rzeczy. Dziewiętnastu malarzy, dwóch rzeźbiarzy, oto nasz tegoroczny kontyngens. Mówiąc szczerze, wolelibyśmy jednego Matejkę, ale ten nic nie przysłał. Nie idzie zatem, by w kole tych panów, po większej części młodych i o ile nam wiadomo po pierwszy raz na tak obszerną występujących widownię, nie było bardzo ładnych talentów, bardzo dobrze na przyszłość rokujących nadziei; owszem, jak to niżej w detaliczniejszem wyczytacie sprawozdaniu, wcale ich nie brak, lecz tego nie wystarcza. Dobre to u siebie, na domowych wystawach, gdzie nie tyle nam chodzi o zamanifestowanie się przed całym światem, ale w Paryżu, na tym kosmopolitycznym konkursie, radzibyśmy widzieć tylko rzeczy pierwszorzędne, takie, któreby nie tylko nie przyniosły nam wstydu, lecz któreby przyniosły nam chlubę prawdziwą. Poczynający artyści powinniby wypróbować się wprzód dobrze w domu u siebie, i dopiero kompletnem a pochlebnem swoich uzbroiwszy się uznaniem, na szerszą występować widownię. Inaczej nie widzimy celu tak dalekich wysyłek. Jeśli tylko nadzieja zysku materjalnego jedynym tego jest powodem, to i ta widzi nam się zawiedzie. By obraz cudzoziemskiem podpisany nazwiskiem, mógł się tu sprzedać dobrze, potrzeba by to nazwisko opromieniała aureola sławy niepośledniej. Inaczej, chociażby nawet namalowany z ładnym talentem, przejdzie niepostrzeżenie. Ładnych miernych talentów Francja ma u siebie aż do zbytku, i importacji nie potrzebuje. Co innego, gdy rzecz idzie o dzieło przekraczające zwykłą skalę zdolności. W to mi grajcie! Dobra w niem bowiem rekomendacja dla narodu i pewna szansa zbytu dla artysty. Dla rzeczy zaś pośrednich, pośrednia wziętość u swoich powinna być aż nadto dostateczną nagrodą. Tem bardziej, iż cudzoziemcy sądzą zazwyczaj, że to, co my im na pokaz przysyłamy, jest już wyborem z wyborów, kwiatem, śmietanką. Jakże więc o pozostałem w domu mleku sądzić będą mogli, jeżeli śmietanka nie przypadnie im zupełnie do smaku? Wybaczcie mi ten zbytek patrjotycznej kokieterji. Wywołanym on został, nie powiem zupełnie złem, lecz szarem, bezbarwnem wrażeniem, jakie tegoroczne przysyłki polskich malarzy, na tutejszej wywarły publiczności.

Wyczerpawszy nareszcie ogólnikowe uwagi o tegorocznej wystawie, bierzmy się do szczegółowego takowej ocenienia, do analizy celniejszych przynajmniej utworów. A bierzmy się w sposób odmienny nieco od użytego w roku zeszłym.

Miast nazwiska artystów alfabetycznym układać porządkiem, podzielmy raczej całą wystawę na kilka grup względnie do rodzaju malarstwa: 1) Malarstwo historyczne i religijne; 2) Malarstwo rodzajowe; 3) Pejzaże i martwe natury; 4) Portrety. W każdej z tych grup wytknijmy utwory, bardziej dla tej lub owej przyczyny ogólną ściągające uwagę.

O artystach Polakach pomówimy tymże samym trybem, lecz z osobna. Dorzućmy nakoniec słów kilka o rzeźbie, którą w roku zeszłym zupełnem pominęliśmy milczeniem, a która jednakże na podobne nie zasługuje lekceważenie. Zaczynamy:

Grupa I. „Malarstwo historyczne" i „religijne." W grupie tej o wiele bogatszej niż w latach ubiegłych, na pierwszem miejscu postawmy obraz.

L a u r e n s: „Franciszek Borgia z polecenia Karola V, odwożąc zwłoki cesarzowej Izabelli na miejsce ostatniego spoczynku, kazał otworzyć przed sobą trumnę zawierającą te zwłoki i dostrzegłszy spustoszenia poczynione dłonią śmierci na tak pięknem niedawno nieboszczki obliczu, w głęboką a smętną na widok ten pogrążył się zadumę." Tyle powiada legenda obrazu i powiada aż nadto dosyć. Resztę inteligentny widz w duszy sobie domówi. Rozumnie, dobrze pomyślany obraz. Zaduma Borgji udziela się patrzącemu. Wyraz twarzy dumnego magnata, który rzekłbyś dziwuje się śmierci, iż się odważyła tak dostojne zniweczyć oblicze, schwycony i oddany wybornie. Wykonanie szczegółów nie zostawia nic do życzenia. Precyzja roboty wielka, a nie masz przesady. Ponure światło pochodni trzymanych przez straż przyboczną, łamiąc się w bronzach trumny, w złocie korony cesarskiej nad posiniałą twarzą zmarłej, całemu obrazowi nadaje koloryt wysoce dramatyczny, silnie zajmujący oczy i wyobraźnię. Albo bardzo się mylimy, albo obraz ten zostanie nagrodzony pierwszym honorowym medalem. W każdym razie ze wszech miar nań zasługuje. (C. d. n.)

Ze świata muzycznego.

W ostatnich dniach czerwca zwołano posiedzenie Wydziału gal. Tow. muzycznego, a to zapewne celem wypracowania rocznego sprawozdania o czynnościach Towarzystwa, gdyż z dniem 1go lipca kończył się rok szkolny. *Antiquo more* — posiedzenie to nie przyszło do skutku... dla braku kompletu! Zebranych więc kilku członków Wydziału, nie będąc rozumie się z tego powodu uprawnionymi do działania, uczciło gorliwość nieobecnych przez powstanie, i jednogłośnie uchwaliło — rozejść się do domów. Sekretarz nie mając z czego spisywać protokołu, pochował przyrządy do pisania, a dyrektor artystyczny zostawszy sam na placu, wspomniał sobie słowa Cavoura „*Italia farà da se!*" i postanowił bez upoważnienia Wydziału zakończyć rok szkolny. Zakończył go też egzaminem, który o tyle tylko zasługuje na uwagę, o ile w nim nauczycielską pracę nad nowemi i uzdolnionemi uczennicami swemi publiczności przedstawił. Z wyjątkiem bowiem kursu harmonji, który może być jeszcze więcej ciekawym, powtórzylibyśmy wszystkie zarzuty, które uczyniliśmy podobnym egzaminom przy końcu roku zeszłego.

Z dorocznych koncertów dla członków, 3ci odbył się d. 25 czerwca przy niewielkim współudziale publiczności z powodu spóźnionej pory, gorąca i nieobecności wielu członków czynnych; ostatni zaś koncert pozostaje w długu aż do lepszych czasów po wakacjach. Na koncercie tym wykonano utwory zbiorowe po większej części kompozytorów francuskich, jako to: IIga Symfonia Rebera, Mottetto Mozarta, Toccatę J. S. Bacha z instrumentacją H. Essera — „In media nocte" Lesueur'a i Fragment z tragedji lirycznej „Castor i Pollux," Rameau instrumentowany przez K. Mikulego.

Symfonię orkiestra wykonała starannie, bo p. Mikuli będąc uczniem Rebera najlepszym, może być najlepszym jego interpretatorem; z szczególniejszem też upodobaniem przykłada się do opracowania jego dzieł, ilekroć takowe przez Towarzystwo u nas mają być wykonane. Mottetto Mozarta *Ne pulvis et cinis* na chór mięszany z towarzyszeniem orkiestry jest imponujący swą majestatycznością, i obliczony na wielkie masy tak w orkiestrze jako też chórach. Śpiewaków było mało i chór był za słaby; wstępne zaś solo basowe pisane na głos obszernej skali wykonał baryton. Nie znamy we Lwowie dość silnego głosu basowego, któryby do tych kilkunastu taktów był wystarczającym i potrzeba takiej tylko życzliwości dla Towarzystwa i grzeczności, jaką znajdujemy w amatorze p. M. aby się poświęcić przyjmując na siebie wykonanie nie odpowiedniej do jego głosu partji. P. M. który tak chętnie swym talentem wspiera Towarzystwo, może posłużyć za przykład dla wielu, a już najwięcej dla tych, którzy uchylając się od współudziału, z estrady do krzeseł łaskawie emigrować raczą; gdybyśmy wszyscy chcieli tylko słuchać, to kogoż w takim razie będziemy słuchać?...

Z programu tego koncertu, z największą precyzją może wykonaną była przez orkiestrę Toccata Bacha. Jest to kontrapunktyczna zabawka na bardzo krótki i pojedynczy temat, który nam genjalny autor w rozmaitych formach i harmonicznych kombinacjach przedstawia. Rachunkowy, a dla zwolenników samej melodji, czasem monotonny Bach, nie byłby im może tak dalece nieprzystępnym, gdyby mieli cierpliwość bliżej mu się przypatrzeć; utwory jego bowiem odznaczające się wielkością rozumu i talentu, wymagają ciągłej uwagi i zastanawiania się nad każdą jego myślą. Bach nie zna pół środków, miernie więc wykonać go nie można; gdzie każda nuta, każdy punkt ma swoje znaczenie i ważną gra rolę, tam sumienna tylko precyzja może oddać go takim jakim jest rzeczywiście; i na odwrót, najmniejsze zaniedbanie jakiego bądź ustępu — frazesu, lub opuszczenie choćby tylko jednego znaku, zmienia myśl autora, a często nawet robi ją zupełnie niezrozumiałą. „*In media nocte*" solo tenorowe z chórem Lesuer'a, podobało się w ogóle. Współczesny Mehulowi i Catelowi Jan Franciszek Lesuer mając szczególne upodobanie do wszystkiego, co tylko przedstawia formę wielką i majestatyczną, pracował przeważnie na polu muzyki kościelnej i wysoko też cenione są jego Oratoria de la Passion. Styl jego poważny i szeroki wywołał w współzawodniczących mu w owym czasie zarzut jednostajności i powtarzania się, mimo to jednakże literatura muzyki francuskiej imię Lesuer'a zalicza do najpierwszych. Na dessert tak ładnego programu ofiarował nam p. Mikuli misternie opracowany fragment z Castor i Pollux, Rameau, na solo sopranowe z chórem. Jan-Filip Rameau jeden z najdzielniejszych muzyków francuskich XVIII wieku, urodzony w r. 1683 łączył w sobie podwójne zalety. Autor wielu teoretycznych dzieł w muzyce, oddany studjom, których przedmiot sam z siebie suchy i mozolny jak każda formułka, mająca kiedyś służyć za podstawę w nauce, znalazł jeszcze w sobie dość uczucia i bujnej fantazji, aby być twórcą i pięknej melodji. Castor i Pollux przedstawiony był po raz pierwszy d. 24go października 1737 r. a w 34 lat po ukazaniu się jego na scenie, jeszcze powiedział jeden z pierwszych krytyków francuskich, że „dzieło to jest dziś jedynym punktem, na którym się opiera sława muzyki francuskiej."

I w samej rzeczy wykonany na koncercie fragment tej tragedji, dostatecznym jest aby podziwiać lekkość fantazji i swobodę myśli obok prostej instrumentacji, które tak charakteryzują po większej części wszystkie dawniejsze francuskie utwory.

Jeszcze jeden koncert!!... ale tego już i potężny talent goszczącej u nas p. Heleny Modrzejewskiej, uratować nie był w stanie. Odbył on się dnia 29 Czerwca w pustej sali ratuszowej i nie wiadomo

zaprawdę, komu się więcej dziwować należy? czy tym, co interesując się sprawą pomnika dla śp. Goszczyńskiego, tak niekorzystną porę do tego wybrali — czy tym, którzy znajdując przyjemność produkowania się nawet przed pustemi ławkami chętnie podejmują każdą nadarzającą się sposobność, byle tylko się produkować? Czyż dla tego że p. Modrzejewska na cele dobroczynne nigdy współudziału swego nie odmawia, na nieprzyjemną próbę zawodu ze strony publiczności narażać ją należy?

Walery Wysocki.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— O przyczynach wpływających na mleczność krów przez Juljana Liszko. — Poznań 1876.

Rzecz tę napisaną na podstawie doświadczeń, w celu uzyskania świadectwa z ukończonych nauk w szkole rolniczej imienia Haliny, polecamy uwadze naszych gospodarzy. Cena przystępna — rozprawka ta bowiem kosztuje 65 centów.

— Bibljoteka umiejętności lekarskich. Farmacja. Warszawa — 1871 — 1876. Tom I — III. Przekład Dra A. Fabiana.

Dzieło to, o którego wyjściu donosiliśmy zostało obecnie skończone. Jest to przekład dzieła słynnego profesora we Wrocławiu Dra Adolfa Duflos'a: „Theorie u. Praxis der in pharmaceutischen Laboratorien vorkommenden pharmaceutisch-technisch und analylytisch-chemischen Arbeiten."

— Klementyny z Tańskich Hoffmanowej dzieła. Warszawa 1876. Tom V — VI.

Tomy te obejmują: opisy niektórych okolic Polski, wspomnienia z podróży w obce kraje, życiorysy znakomitszych Polaków i życiorys Klementyny z Tańskich Hoffmanowej.

— Błędy nasze w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane oraz prowincjonalizmy zebrał Aleksander Walicki. Warszawa 1876.

W tym przedmiocie pisali już poprzednio T. Massalski, H. Suchecki, a w ostatku Dr. F. K. Skobel, wykazując liczne błędy mowę naszą każące. Nasz autor poszedł w ich ślady dalej i niemałą usługę mowie ojczystej oddał. Rozprawa ta godna zwrócić uwagę wszystkich miłośników literatury i języka ojczystego.

— Augusta Jeskego: „Mała stylistyka." Druga edycja. Lublin 1876.

Stylistyka mała zawiera materjały i wskazówki metodyczne do pierwszych ćwiczeń w nauce języka ojczystego dla dzieci od lat 9 do 12.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— We Lwowie zaczęło wychodzić nowe pismo polityczne „Kronika Codzienna" wydawane i redagowane przez dotychczasowego redaktora *Szczutka* p. Liberata Zajączkowskiego. Jak na początek „Kronika Codzienna" ma powodzenie, a jeżeli jej się uda wyprzeć „Gazetę Lwowską" z tych domów polskich, w których się ona zagnieździła, to już tem samem zasłuży się dobrze krajowi. Nie wątpimy, że energiczną i umiętną redakcją „Kronika Codzienna" powiększy obóz narodowy, a uszczupli bezbarwny. Równocześnie z pojawieniem się „Kroniki", w Krakowie przestały wychodzić „Szkice", które były jedynem pismem postępowem w Krakowie, pisanem poważnie. Fakt ten bardzo nas zasmucił, bo odtąd klika wsteczna nie będzie miała w Krakowie żadnej opozycji, trudno bowiem żądać, by ją skutecznie prowadził „Djabeł", który jako pismo humorystyczne nie może roztrząsać serjo kwestyj literackich i społecznych.

— Tegoroczna wystawa sztuk pięknych we Lwowie, nie jest bogatszą od poprzednich ani co do ilości, ani co do jakości znajdujących się na niej przedmiotów, i dla tego nie poświęcamy jej obszerniejszych artykułów w naszem ptśmie. Czołem wystawy, jest obrazek niezbyt wielkich rozmiarów Ajdukiewicza Tadeusza z Monachjum, przedstawiający „Bitwę pod Ignacewem w r. 1863". Tyle tam pięknа, prawdy, i tak są wykończone wszystkie szczegóły, że utwor ten możnaby śmiało zaliczyć do najcelniejszych w dziedzinie naszej sztuki. Tegoż samego artysty portret hr. Sz. jest piękny, w niektórych szczegółach nawet świetny, ale całość wygląda rozlana w skutek tła nadto płaskiego. — Portret hrabiny Dz. Rodakowskiego, jest bardzo staranny i tak drobiazgowy, że aż w skutek tego brak mu charakteru. Z większym talentem artystycznym są malowane portrety p. Wilhelma Leopolskiego, który jednak w drugą popada ostateczność, mianowicie tę, że portrety wykańcza zaledwie w dwóch trzecich częściach, a o rysunku także nie zawsze pamięta. Przy tej sposobności niech nam będzie wolno zapytać p. Leopolskiego, czy prócz potretów nic nam nie da więcej? Wszak kto stworzył „Zgon Acerna" ten przecie powinien dalej pracować.... O rysunku nie pamięta także p. Maleszewski Tytus, znany pastelista. Wszystkie jego głowy są skręcone. Smutną, bardzo smutną pod względem pomysłu, układu i rysunku jest „Madonna z Lourdes" Jabłońskiego Izydora z Krakowa. Stoi krzywo, jak manekin w suknie ubrany, a ramiona ma tak długie, że gdy ręce opuści, łokcie sięgną prawie po kolana. Całość jest pod każdym względem chybiona, ale ponieważ główka Madonny jest skopiowaną z żywego modelu, przeto profani sądzą, że obraz ma zalety... Nie możemy pojąć w jakim celu wystawiono studja Jana Matejki. Są one po większej części tak rysowane, że nikt, niktby się nie domyślił że należą do tak wielkiego artysty. Matejko rysował je dla kostjumów, nie dla charakteru osób, a że rysunkowi brak kolorów, więc wartość mogły mieć one li dla samego artysty. Dla artystów innych, ale także nie dla szerszej publiczności, mają studja malowane, między któremi znajduje się pomysł do „Stańczyka" i drugi do „Dzwonu Zygmunta." Gdyby Towarzystwo urządzające wystawę, roztrząsnęło było wszechstronnie tę sprawę, z pewnością nie byłoby wystawiło tych studjów, które dobre są w muzeum lub w galerji obrazów, lecz nigdy na wystawie czasowej. Jeżeliby nam chciano zaprzeczyć, odpowiemy obszerniej i wyczerpująco.

— W ubiegłym tygodniu, na scenie naszej debiutowała pani Tańska w roli Fantaski w operetce „Indigo". Jak na pierwszy raz, debiutantka wywiązała się swej roli ku ogólnemu zadowoleniu. Głos ma przyjemny, choć może nie dość obszerny na dużą salę, z którego jednak przy umiętnem pokierowaniu, jeszcze nie mało da się zrobić.

— Na konkursie Towarzystw śpiewu, który się odbył w Amsterdamie, Bruksella otrzymała pierwszą nagrodę, a drugą Gandawa.

— Znana śpiewaczka Karolina Lucca, złamawszy kontrakt z włoską operą w Londynie, została skazana przez sąd na zapłacenie 60.000 guldenów kary.

— Komedja Sewera „Pojedynek szlachetnych" nagrodzona niedawno na konkursie warszawskim, ma być tłumaczoną na język czeski.

— W Warszawie wielki ruch w dziennikarstwie. „Gazeta Polska" powiększyła swoje rozmiary i tak już dosyć poważne; „Wiek" postanowił dodawać „Nowiny niedzielne"; „Opiekun domowy" przybiera tytuł „Tygodnika powszechnego"; „Przegląd tygodniowy" poświęca coraz więcej miejsca polityce, a sam teatr będzie miał aż dwa organy „Antrakt" i „Gońca teatralnego". W Galicji natomiast ruch na polu literackiem coraz się zmniejsza. Gnuśnej naszej publiczności chyba nic już nie rozruszа.

— Pan Jan Jeleński, pisarz na polu pracy ekonomiczno-społecznej, postanowił wydać w Warszawie rozprawę pt „Gdzie praca dla kobiet naszych". W dziełku tem autor wskaże, jakim głównie zawodom nasze kobiety oddawać się powinne.

— Dr. Anatol Lewicki, profesor gimnazjalny w Przemyślu, wydał dwie rozprawy historyczne: 1) Mieszko II; 2) Wratysław II Czeski królem polskim. Obie są napisane źródłowo.

Szkolnictwo.

— Pani Biruta ze Strażnickich Łukaszewiczowa, otworzyła przy ulicy Kopernika l. 10 we Lwowie, Ogródek Froeblowski dziecięcy, oraz szkołę 4 klasową i pensjonat od lat 3 do 10 dla panienek i chłopczyków. Właścicielami tego zakładu byli dawniej państwo Pietraszewscy. Pani Ł. zdolna nauczycielka rządowa i prywatna, objąwszy go teraz, dołożyła starań, aby jej zakład był wszechstronnym i wzorowym. Kierownictwo nad samym „Ogródkiem" objęła p. Fr. Zielonczanka, nauczycielka rządowa, znana w naszem mieście z zasług położonych około wychowania dziatek. O pożyteczności Ogródków Froeblowskich tyleśmy już pisali, że dziś możemy tylko gorąco polecić ten nowy zakład względom szerszej publiczności.

Wynalazki.

— Kapitan Ahlström, Szwed z pochodzenia, daje we Wiedniu prawdziwie zadziwiające przedstawienia. Do umyślnie na ten cel zbudowanego domku drewnianego i smołą oblanego, a następnie podpalonego, wchodzi Ahlström i tak długo w nim siedzi, póki się cała budowla nie spali. Ubranie kapitana składa się z podszewki nieprzemakalnej, która do bielizny przylega, a na której znajdują się przytwierdzone rury z grubego płótna. Rury są przeznaczone na wodę, która tym sposobem całe ciało otacza. Aby woda szybko się nie ogrzała, należy przez ustawiczne pompowanie ciągle świeżej dostarczać, ciepła zaś wycieka sama, drugim otwartym końcem rury i przyczynia się w części do gaszenia ognia. Oprócz tego dostarcza się za pomocą oddzielnej pompy pneumatycznej, powietrza do drugiej rury, która mieszcząc się w rurze z wodą, powietrze do ust doprowadza. Wynalazcą tego przyrządu jest Szwed, niejaki Oestberg. Ponieważ korzyści tego wynalazku przy pożarach są niezmierne, przeto lwowska straż ogniowa powinna by się postarać o kilka takich przyrządów. Wiedeńska straż ogniowa, już się w nie zaopatrzyła. Adres: *Capitain Ahlström, Wien, Hotel Tauber.*

— Do ratowania ludzi, zwierząt, a nareszcie martwych przedmiotów z wody, wynaleziony został przez Esterlusa, fabrykanta aparatów medyczno-wojskowych w Wiedniu przyrząd, którego użyć mogą nawet ludzie nieumiejący pływać. Przyrząd ten, tak mało zajmuje miejsca, że może być wygodnie umieszczony w kieszeni. Składa się z pudełka blaszanego, długiego 25 centymetrów, 10 szerokiego a $2^1/_2$ grubego. W pudełku tem znajduje się sznur 8 metrów długi z włosów wielbłądzich, kula ołowiana i wędka z dwoma odpowiedniemi haczykami. Wędka przymocowana wraz z kulą do końca sznura owiniętego na kołku. Na tylnej stronie pudełka jest rurka mosiężna czyli lufa, u której się mieści znowu silna spiralna sprężyna. Przy użyciu kładzie się kulę w lufę, naciąga sprężynę za pomocą gałki z drugiego końca lufy, i mierzy się z oka na przedmiot który chcemy ratować. Za puszczeniem gałki sprężyna wyrzuca kulę wraz ze sznurem — trafia w cel, zanurzając się do dwóch metrów w wodzie własnym ciężarem. Haczyki wędki chwytają przedmiot, który się następnie da z łatwością przyciągnąć do brzegu.

Poszukiwania geologiczne.

— Centralny zakład geologiczny w Wiedniu, wysłał do Galicji radcę górnictwa p. Henryka Wolfa, celem przedsięwzięcia badań geologicznych. W roku zesz. bawił p. Wolf w Czortkowskiem, gdzie zbadał pod względem geologicznym obszar wynoszący około 50 mil □ P. Wolf przybył do Lwowa dnia 8 bm. a dnia 9 wyjechał do Tarnopola, gdzie zabawi kilka dni. W towarzystwie jego znajduje się p. Pilide, wysłany przez rząd rumuński na praktyczne studja geologiczne. Wiadomość o pobycie p. Wolfa w Galicji wschodniej powinna się szybko rozpowszechnić w tamtych okolicach, a to w interesie gmin i właścicieli dóbr, którzy od dawna pragną zbadać pokłady w swych obszarach. W tym roku ma przybyć w tym samym celu radca górnictwa p. Paul, w towarzystwie pana Emila Titza, który niedawno powrócił do Wiednia z wyprawy naukowej do Persji. Ci panowie poświęcą się głównie badaniu Karpat.

Gospodarstwo.

— Szkoła racjonalnego gotowania, przed rokiem założona dla kucharek w Londynie, takie miała dotąd powodzenie, że zarząd jej, na odbytem niedawno zgromadzeniu, uchwalił pozakładać tego rodzaju szkoły we wszystkich znaczniejszych miastach angielskich. Jedną z protektorek szkoły londyńskiej jest królewna Ludwika. Na zgromadzeniu, o którem mowa, członek parlamentu dr. Lyon Playfair uczynił wniosek, ażeby postarać się o zaprowadzenie nauki kuchennej, jako przedmiotu obowiązkowego, we wszystkich szkołach ludowych. Wniosek ten jednomyślnie został przyjęty.

ROZMAITOŚCI.

— P. L. Simmonds, autor pouczającej książki, traktującej o użytku rzeczy, które wyszedłszy z codziennego używania, idą bądź na śmietniska, bądź butwieją po składach domowych, wylicza różne sposoby spieniężania starych sukień. Między innemi dowiedzieć się może czytelnik, jak to dawniej znoszone *full dress* liberje służących lord majora, przemieniano wybornie na uniformy dla urzędników w państwach murzyńskich. Wyobraźmy sobie tę dumę, którą podniosłaby się pierś takiego sługusa, gdyby nagle ujrzał swój stary kapelusz trójgraniasty i galonowany frak, rozsiewający postrach i respekt wśród poddanych czarnego autokraty! Po wymienieniu najrozmaitszych sposobów korzystnego zbywania znoszonych sukień, opowiada dalej autor o zwyczaju i sposobach sprzedaży starej odzieży w Tuilerjach. Zwyczaj ten datujący się na długo przed rewolucją wielką wprowadzony został przez nadworne damy królewskie. Za pierwszego cesarstwa, cesarzowa Józefina chętnie zgodziła się na odnowienie przerwanego Rewolucją, handlu, i odtąd trwał prawie bezustannie aż do końca rządów Napoleona III. Miejscem sprzedaży, niby magazynem tandety, była długa galerja parterowa od strony ogrodu, zapełniona cała dębowemi szafami i szaragami nazywana pospolicie defroque pałacową. Tutaj umieszczano wszelką odzież królewskich i cesarskich dam nadwornych, gdy wyrugowaną została z górnych piąter pałacu. Jakkolwiek szafy były obszerne i w ogromnej ilości, napełniały się jednak rok rocznie obficie, a w styczniu zarządzano wyprzedaż zupełną. Każdy kawałek nosił na ten cel kartkę z ceną wypisaną dokładnie, wstęp zaś dla oglądania wystawionych rzeczy otwarty był dla ogółu za biletami, wydawanemi przez jednę z dam nadwornych, która miała przywilej zajmowania się tą sprawą. Sprzedaż ta nazywała się w ostatnich latach: „le retour de Compiègne" za poprzednich zaś rządów: „sacrifice de Fontaineblau," „Caprices de St. Cloud." „Joies de Malmaison," stosownie do miejscowości z której dwór wracał na zimę do stolicy, a jak wiadomo każdy z monarchów inne miał tusculum letnie. Przy sprzedaży panowała najsurowsza niestronniczość, skutkiem czego, jak również dość przystępnych cen, tłumy kupujących biedniejszego stanu spieszyły do tego oryginalnego w swoim rodzaju bazaru tuileryjskiego. Wszystkie okiennice galerji były szczelnie zamknięte, a natomiast liczne lampy i kandelabry oświetlały lepiej cały przybytek, niżeli światło dzienne. Rzecz oczywista, że targu tam nie było, bo każdy artykuł miał z góry oznaczoną stałą cenę. Środkiem galerji biegła długa barjera, drzwi od szaf stały otworem, a przybywający, przechadzając się zwolna wzdłuż obudwu rzędów, robili wybór i notowali na kartkach numera przedmiotów, które potem oddawano służbie u wyjścia. Na stelażach wisiały mantyle i szale, w szafach kostiumy całe, na stołach stosy bielizny różnorodnej, obok na improwizowanych ladach, koronki i koafiury damskie. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży rozdzielano publicznie pomiędzy ubogich, a niewyprzedane artykuły zabierała zwykle na własność podrzędna służba pałacowa.

— W ostatnich dniach obiegała po dziennikach pogłoska, że sułtan Murad V. zamierza wywiesić chorągiew Proroka, i w ten sposób pociągnąć wszystkich wiernych wyznawców Islamu do wyprawy przeciw wrogom osmańskiego państwa. Przy tej sposobności nie zawadzi wspomnieć o relikwjach przechowywanych w Konstantynopolu, które wrzekomo należały do Mahometa. Ogółem znajduje się pięć takich relikwij mianowicie: wspomniana wyżej chorągiew, płaszcz (chirket scherif,) broda (dsuken scherif) jeden ząb przedni (san scherif) nakoniec kwadratowy kamień wapienny, na którym, według podania, Mohamet pomagając budować Kaabę w Mece, postawił nogę i ślad jej wyciśnięty (!) stopą, do dziś na być widocznym. Co dotyczy chorągwi, była ona kotarą w sypialni Ajeszy, ulubionej żony proroka. Jest ona koloru czarnego, wywieszoną była ostatni raz w r. 1827, gdy ojciec Murada, Mahmud II wzywał mieszkańców stolicy do poskromienia butnych Jańczarów. Płaszcz Mahometa, również czarny a zwykły arabski, bywa każdego roku wywieszanym w jednym z większych meczetów Stambulskich, gdzie krańce jego obcałowują tłumy wiernych, a między nimi sam padyszach. Broda proroka ma długość trzech cali i jest jasnobrunatną. Ząb ów utracił prorok w jakiejś bitwie, a jeden z jego żołnierzy odnalazł go szczęśliwie i przechował cenną tę pamiątkę dla potomności. Kamień jest białawy, i kształtu sześcianu. Ktokolwiek poważyłby się powątpiewać o prawdziwości i świętości wyżej wyliczonych przedmiotów, ten staje się apostatą, i nigdy nie będzie mu danem napoić się — choćby na chwilę tylko — widokiem raju proroka, takie przynajmniej przekonanie płębokie u Turków.

— Na początku maja r. 1453 przybyło do Lille rezydencji Filipa Łagodnego, księcia Burgundji, poselstwo greckiego cesarza Konstantyna Palleologa, który do wszystkich większych dworów europejskich udawał się o pomoc przeciw Turkom, zagrażającym jego państwu i stolicy. Filipowi tak dalece pochlebiło to poselstwo, że postanowił na cześć jego urządzić festyn wspaniały. Wszyscy wasale księcia i szlachta została na ten cel zproszoną. W olbrzymiej sali zamku ustawiono stoły do uczty, a z tych stojący w środku, przy którym siedział sam książę w dostojnem otoczeniu, miał kształt podkowy. W sztucznem ukryciu pomieszczona muzyka przygrywała podczas uczty, a naprzeciw księcia, w jednym rogu sali urządzono scenę teatralną, na której przedstawiano wyprawę Jazona po złote runo i jego Argonautów. Atoli dopiero po ukończeniu tego widowiska, rozpoczął się właściwy festyn. Do sali wszedł olbrzym w tureckim ubraniu, i wprowadził słonia, na którym w ozdobnej wieży siedziała zawelonowana kobieta, przedstawiająca kościół chrześcijański. Przed księciem olbrzym zatrzymał się, kobieta we wieży podniosła głos i odśpiewała wzruszającą pieśń, poczem miała wierszami przemowę do księcia, w której zaklinała go uroczyście, ażeby bronił kościoła i wiary przed wrogim poganinem. Przemowa ta wzniecila niesłychany zapał i uniesienie między obecnymi. Książę skinął na herolda zakonu złotego runa, i niebawem zjawiła się śliczna dziewica, naturalna córka Filipa, z pieczonym bażantem o złoconym dziobie i takich nogach na srebrnym półmisku. Ptak ten zastępował rycerzom średnich wieków ewangelję, i na niego składali przysięgi rycerskie. Książę Filip przysiągł pierwszy na bażanta a przysiągł Najśw. Pannie i burgundzkim szlachcicom, że skoro tylko król Francji lub inni książęta chrześcijańscy wyruszą przeciw poganom, on niezwłocznie przyłączy się do wyprawy ze swojem rycerstwem, a nawet pojedynkiem podejmie walkę z tureckim władcą Mahometem, jeśli oczywiście ten ostatni, o to się pokusi. Ta przysięga wzmogła tylko entuzjazm słuchającej szlachty. Żaden z nich nie rad był za zwierzchnikiem swoim w tyle pozostać, co do odwagi i wielkoduszności, to też coraz to ognistsze przysięgi składano na złocistego bażanta. Rycerz Alojzy de Montbrison przysiągł, że prędzej nie usiądzie do stołu, aż miecz swój napoi do syta krwią turecką; Jan Dunoncour przyrzekając równą ucztę dla swojego miecza, postanawiał nie wypić wprzód zanim to nastąpi ani kropli wina. Jakób Blanchemaison oświadczył, iż tak długo czuwać będzie każdą noc piątkową, póki nie zabije z dwudziestu Muzułmaninów, a Szymon Itten zapowiedział iż nie wróci do domu, chyba z czeredą wziętych w niewolę poganów. Najciekawszą ze wszystkich przysięgę złożył niejaki Henryk Beaufort, może dla tego że mu najmocniej szumiało wino w głowie. Ślubował mianowicie, iż pierwszą lepszą dziewicę, czy to szlachciankę czy nieszlachciankę, którą spotka po wyjściu z zamku Lille, pojmie w małżeństwo, jeśli ta przyniesie mu 8000 dukatów w posagu; gdyż nie ma pieniędzy, a takiej sumy potrzeba mu niezbędnie na uzbrojenie się dla wyprawy. Szczęściem czy nieszczęściem dla tej dziewicy, książę i szlachta zostali uwolnieni od przysiąg złożonych, gdyż kurcjata, układana przeciw półksiężycowi, zpełzła na niczem. Zanim uzbrojono wojska, przyszły wieści smutne, że 29 maja tego roku, więc zaledwie w kilka tygodni po owym festynie w Lille, Konstantynopol został przez Turków zdobyty, cesarz poległ, a z nim greckie państwo.

— Jako ilustracja dla podróżnych udających się na wystawę do Filadelfji, niechaj posłuży następujący obrazek umieszczony przez korespondenta w dzienniku „Phönix." Przechodząc ulicę Chestuut Street zauważyłem na jednym domu kartkę, z której wyczytałem: Pokoje umeblowane dla porządnych, nieżonatych panów do wynajęcia — udałem się do gospodyni z zapytaniem o cenę. Dolara dziennie — odpowiedziała. Toby było nie drogo — pomyślałem — a więc mam płacić siedem dolarów tygodniowo? — Za pozwoleniem, muszę zwrócić pana uwagę że do pokoju wstawię tyle łóżek ile się znajdzie miejsca. — Ileż się więc tam łóżek pomieści? — Cztery — odpowiedziała gosposia. — A więc gdybym chciał ten pokój sam dla siebie nająć płaciłbym 28 dolarów tygodniowo? — Za pozwoleniem, w każdym łóżku jest miejsce na dwie, trzy a nawet cztery osoby. — Co! 112 dolarów tygodniowo za ten pokój? — zawołałem przerażony a włożywszy szybko kapelusz na głowę uciekałem co tchu z tej jaskini rabusiów. Wypadek ten nie jest bynajmniej odosobniony, można by całe tomy pisać o zdzierstwie amerykańskich hotelników i wynajmujących pomieszkania przybywającym na wystawę.

— Najbardziej namiętnymi graczami są bez wątpienia obywatele Siamu. Domów gry jest tam niechybnie co najmniej tyle, ile kawiarń w Bogdadzie lub Kairze, albo wyszynków grogu w Kalkucie i Bombaju. Dość powiedzieć, że największą część dochodów pobiera rząd z tego źródła haniebnego. Wstrętny widok przedstawiają dla cudzoziemca budy obszerne, a niemal co krok spotykane, przepełnione mężczyznami, kobietami, dziećmi, oddającemi się sercem i duszą przez dni i nocy całe zgubnej namiętności — istne jaskinie upadku i demoralizacji. Jeśli taki Siamczyk raz da się opętać szatanowi gry, nietylko że straci do ostatka grosz u niejednego gorzko zapracowany, ale w końcu stawia na kartę żonę, własne dzieci i oczywiście przegrywa. Nie dość mu tego: często stawia siebie, rzuca swą wolność i życie na igraszkę losu, byle zaspokoić palącą namiętność. Robi zaś to tym sposobem. Idzie do lichwiarza, pożycza pewną sumę pieniędzy, oczywiście na lichwę niezmierną, i obowiązuje się zapisem legalnym, że jeżeli na termin oznaczony nie zwróci pożyczki, wówczas pracować będzie w usługach wierzyciela tak długo, dopóki przypadającą płacą nie umorzy długu wraz z procentami. Po podpisaniu takiego cyrografu bierze pieniądze, i idzie do domu gry, w nadziei, a nawet pewny, że teraz odzyska poprzednią przegraną. Że jednak los zazwyczaj inaczej zrządza, więc po przegraniu ostatniego szeląga, staje się niewolnikiem wierzyciela w dosłownem znaczeniu. Ten na mocy zapisu odnajmuje go potrzebującym robotnika, i połowę jego zarobku kondykuje z góry na poczet długu. W takim stanie rzeczy biedna ofiara namiętności pozostaje częstokroć lata całe. Nieraz umiera nawet w niewoli, bo choć licząc sumiennie dawno już spłacił pożyczkę, to jednak skutkiem olbrzymiego a ciągłego narostu procentów dług pierwotny zmniejszał się mu tylko nieznacznie. Podobna zaprzedaż dzieci w niewolę przez ojców, jest niestety w Siamie na porządku dziennym.

— W niedzielę palmową 9 kwietnia r. b. obchodził Mikado i cały dwór japoński 2659tą rocznicę urodzin cesarza Gunsu, założyciela i protoplasty dzisiejszej dynastji; skutkiem tej uroczystości były w Yeddo wszystkie biura rządowe i sklepy pozamykane. W ogóle Japonja przybiera coraz więcej charakter państwa cywilizowanego w znaczeniu europejskiem, i jeżeli nie zatrzyma się na drodze obranej w ostatnich czasach, cały ten kraj zamorski będzie wkrótce podobniejszym do Francji i Anglji, niżeli Turcja która bądź co bądź przechowuje ciągle swoją odrębność i dla tego stała się anomalją w Europie. Zachodzi tu atoli pytanie, czyli cywilizacja europejska wpłynie dodatnio na Japonję lub ujemnie tj. czy się przyczyni do podniesienia jej potęgi, lub czy ją zrobi zawisłą do drugich mocarstw.

Od Redakcji.

D. D. w Krakowie. Przysłane poezje drukowane nie będą.

Treść Nr. 29.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).